OPŁATĘ POCZTOWĄ UISZCZONO RYCZAŁTEM

Cena 50 gr.

REDAKCJA: LWÓW, UL. RUTOWSKIEGO 9

1 czerwca 1936 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
18 NUMER PISMA

# Sygnały

miesięcznik • sprawy społeczne • literatura • sztuka •—•

WŁODZIMIERZ JAMPOLSKI

# LISTY BRZOZOWSKIEGO

Lwów jest jednem z centrów „brzozowszczyzny" i „brzozowityzmu".

Stanisław Brzozowski bawił tu stosunkowo niedługo, dwukrotnie w latach 1905/6 i 1906/7. Krótki ten okres jednak związał go na trwałe z tem miastem. Tu się dokonała tragiczna perypetja jego krótkiego, bogatego, męczeńskiego żywota. Tu w odpowiedzi na płomienne prelekcje padło ze strony narodowej demokracji oskarżenie o szpiegostwo, które ciężkiem brzmieniem położyło się na życiu wielkiego pisarza.

Lwów również dzięki Ostapowi Ortwinowi, ówczesnemu kierownikowi literackiemu Księgarni Polskiej B. Połonieckiego, wydawał i wysyłał na całą Polskę największe i najważniejsze dzieła Brzozowskiego. — We Lwowie wreszcie przechowała się dotąd żywa i świeża pamięć Brzozowskiego — człowieka, który zdobył sobie tutaj liczne grono zwolenników i przyjaciół. Nie zabraknie tu materjałów do monografji pisarza i do zbioru jego dzieł i korespondencji.

Poniżej podajemy po raz pierwszy kilka listów Stanisława Brzozowskiego, pisanych do jego długoletniej znajomej dr S. Trawieckiej we Lwowie. Dr. Trawiecka poznała Brzozowskiego niemalże natychmiast po jego pierwszym przyjeździe do Lwowa i od tego czasu pozostawała w ścisłym kontakcie z nim, jak i z jego rodziną. Listy niniejsze — wybrane z większego zbioru — dają charakterystyczny przekrój twórczości filozoficznej, pracy literackiej i jej metody, jak i życia pisarza w jego najbardziej tragicznym momencie.

* * *

Dr. Salomea Perlmutter-Trawiecka zmarła we Lwowie, 15 maja br., w wieku lat 71. Zmarła przyjaciółka Brzozowskiego była nauczycielką i zasłużoną działaczką społeczną w szeregach ruchu socjalistycznego. **Wł. J.**

* * *

[lato 1906].

Kochana Towarzyszko!

Napisałem już dziś do Was kartę i myślałem, że nie zdobędę się na napisanie dłuższego listu. I to, że zaczynam pisać, nie dowodzi, abym miał pewność, że porządny list napiszę. Napadła mnie w tych wieczornych godzinach taka melancholja, że rady sobie z nią dać nie mogę. Wszystkie wiadomości z Warszawy, ogólny stan naszej literatury i spraw publicznych są takie, że mogą zemleć na proszek nawet całkiem kamienne organizacje. Jeżeli zaś dodacie do tego mirjady niepowodzeń osobistych, sprawiających, że każde jutro staje się czemś groźnem i niepewnem, lichy stan zdrowia — zrozumiecie, że bywa człowiekowi do cna źle. Zazdroszczę właściwie Wyspiańskiemu — nie sławy, lecz spokoju, jaki zyskał. I gdyby szczęśliwy przypadek nie zetknął mnie tu z Łunaczarskim — pewno Wam o nim mówiła Walka[1]) — nie umiem sobie wprost wyobrazić, jakbym zdołał wyrwać się z tej depresji Nie gniewajcie się na tę jeremiadę. Ja wiem, że Wam pewno jeszcze ciężej — ale zawsze ławą idziecie. Ja zaś jestem odcięty wewnętrznie t. j. nie czuję w sobie związków nawet z rzeczami, które kocham. Nie umiem tego oddać, ale tak jest. Ale teraz jak zawsze do filozofji. Poznałem prace Henryka Bergsona — bardzo mi dużo dały zadowolenia i korzyści. Najwięcej jednak skorzystałem z przestudjowania Vica. Teraz zapoznaję się z filozoficznemi pracami rosyjskich bolszewików Łunaczarskiego i Bogdanowa. Od Bogdanowa jestem dość daleko w interpretowaniu rozmaitych rzeczy. Z Łunaczarskim zdaje się jesteśmy dość blisko od siebie — w każdym razie jest możność porozumiewania się.

Z przerażeniem spostrzegam, że pismo moje staje się niewyraźnem Piszę w łóżku, staram się przeciwdziałać temu.

Mam pewien szereg idées fixes filozoficznych, które tu aforystycznie skreślam:

1) Wszystko co stanowi treść psychiki w danym momencie rozwoju jest wynikiem doświadczeń pracy, nagromadzonych przez ludzkość.

2) Zatem gdy mówimy o poznawaniu bytu itd. — porządkujemy tylko materjał historyczny wypracowany.

3) Życie ludzkości — więc — a nie jakieś pozaludzkie (wszystko jedno Bóg, przyroda, materja itd.) określenie jest centralnem pojęciem filozofji.

4) Określenia bytowe (materja, przyroda, Bóg, duch etc) są tylko pewnemi krystalizacjami wytworzonemi przez to życie. Nie wychodzimy poza ludzkość w tych pojęciach tylko tworzymy mistyfikacje.

5) Badanie form życia jest więc właściwym sposobem pracy filozoficznej Poza każdem pojęciem, każdym systematem pojęć — odszukujemy tę grupę, która ją wytworzyła i charakter tej grupy jest jedyną miarą jej ideologicznych dorobków

6) Czytanki na temat monizmu od plazmy aż do człowieka i t. d. są równie [illegible] zrozumiałe jak i naiwne.

7) Chcieć znaleść istotę świata poza nami jest to nie rozumieć zasadniczych wyników całej przyrodniczej i społecznej myśli.

8) Gdzież więc podstawa? — Ludzkość, jako coś wystarczającego sobie i rządzącego sobą.

9) W jakich warunkach taka ludzkość jest możliwa:

a) opanowanie techniczne globu i wszelkich dostępnych „środowisk kosmicznych" — na nas działających;

b) świadomy i swobodny udział każdej jednostki w tym procesie rządów (?) naturą.

c) zresztą każdy pracujący posiada tę świadomość, zdolność swobodnego, niekontrolowanego udziału w pracy na tym poziomie (?);

d) system wzruszeń, przeżyć, uczuć, ale takich, aby możliwe było na tym poziomie swobodne życie płciowe nie zagrażające rozrodczości — czyli ludzkość jako pani kosmologicznych i własnych biologicznych procesów
czyli = to co było Bogiem
substancją Spinozy
absolutem — Ideą Hegla

ukazuje się jako taka żywa zbiorowość ludzka.

I innego postawienia sprawy nie rozumiem. Nie rozumiem wprowadzenia do materji, energji, takiej lub innej teorji poznania. — To z filozofji.

Teraz refleksje znowu nowe (?) o literaturze polskiej

Zadanie na dziś.

1) — Oprócz klasy robotniczej, a raczej pewnej jej części na niczem oprzeć się nie można.

2) Sama przez się ta klasa nie rządziła.

3) Musi otrzymać hegemonję nad całą masą pracującą (chłopską i rzemieślniczą).

4) Literatura jeśli nie chce być ulicznicą (?) musi światopogląd klasy robotniczej (2 słowa nieczytelne) zaszczepić (?) całemu pracującemu ludowi.

5) To zwężenie (?). Nie — bo — poprzednie punkty, ukazują co zawiera (?) światopogląd.

6) Musi to być odczute, aby szło nie jak lekcja, lecz jak żywy krzyk, jak śmiech, z całą krewkością.

7) Dziś o tem literatura nie myśli.

8) Pisarze socjalistyczni (u nas) wyrażają nastroje sympatyków socjalizmu — nie światopogląd pracy. — Więc trzeba stoczyć walkę o najlepszą część inteligencji, młodzieży, wychować ją i porwać w wielki żywiołowy prąd kulturalny — o jakim nie śniło się.

Napiszcie proszę Was, czy to są pedanckie urojenia doktrynera — ja się tak zsycham w sobie, że jestem nieraz jak kupa piasku — a czasami — znów mam momenty wielkiego entuzjazmu.

Gdybym był zdrów — łomotałbym wokoło siebie w Polsce i poza Polską wszystko w filozofji i literaturze.

Np. Jaskółka Daniłowskiego słaba aż do bólu — a czuje się, że Daniłowski mógłby napisać wielki epos walki proletarjackiej o duszę i los własny albo nawet nie walki — ale jakieś hezjodowe Dnie i Prace nowego, rządzącego sobą człowieka. To jest klasyk. Jeszcze trzeba marmuru a nie (słowo nieczytelne) polskiej inteligencji. A poco Moskali krzywdzi taki panicz? Tego nie powinien był pisać.

Ściskam Was, za bezładny list przepraszam — gorączkę mam i jest mi pod wszelkimi względami źle.

*St. B.*

[lato 1906].

Droga Pani!

Powracam do tematu z innej tylko strony. Postaram się być zwięzłym i ścisłym, choć w tej chwili nie wiem, czy mi się to uda nazbyt bowiem jeszcze jestem poruszony ostatecznym związkiem pomiędzy myślami. A więc more geometrico.

1) Przyroda (pojmuję ją jako środowisko niezależne od woli człowieka), ignoruje wszelkie jego chęci, ich wzniosłość, szlachetność i t. d, ma właściwie jedną tylko moc siłę mięśni bezpośrednią lub też uzbrojoną we wszelkie instrumenty i maszyny jakie człowiek wytworzyć może. Jasnem zaś jest, że podstawą wszelkiej działalności ludzkiej jest moc utrzymywania i narzucania swej woli faktom. Stąd nieuchronny wniosek: siła fizyczna przeciwstawiana przez ludzkość przyrodzie jest podstawą wszelkich ideałów. Ideał o tyle tylko może przestać być czczą nazwą, o ile ta siła istnieje.

2) Stąd pierwsza konkluzja: wszystko co wzmacnia bezpośrednio tę siłę — wzmaga władzę ideału nad światem — jest postępem. Innemi słowami technika jest ostateczną podstawą całego postępu, całej moralności. Władza moralności nad światem jest proporcjonalna stopniowi rozwoju techniki — i gdyby ta mogła być kiedyś = 0, spadłaby do nicości.

3) Przypuśćmy, że technika jest niezmienna. Czem mierzyć się będą wszelkie idee, normy. Miarą siła jaką z danej techniki rozwinąć zdołają. Każda ideja stworzyć może tylko tyle ile mieści się w granicach danej techniki. Może zaś przy danym jej rozwoju zwiększać jej siłę ogólną lub też zmniejszać W tym ostatnim wypadku podkopuje samą siebie. Ludzkość nie ma czasu. Kataklizm (?) przypomina nam, że przyroda niema wobec nas żadnych niezależnych od naszej siły nad nią zobowiązań.

4) Cały gmach prawa, moralności służy do uporządkowania stosunków produkcji. Prawo, moralność danej epoki mają za zadanie uczynić dany stopień władzy nad naturą dla człowieka najwydajniejszym. Każde poszczególne prawidło (?) etyki, każdy nowy przepis prawny jest próbą rozwiązania tego zadania i w ten sposób mierzone i szacowane być mogą.

5) Chcesz poznać wartość swojej zasady moralnej — zbadaj — czy rozwija ona władzę człowieka nad przyrodą, czy ją wzmaga, czy nie tamuje dalszego jej rozwoju.

6) Czyli jak mówi stary Kant: sprawdź czy świat mógłby istnieć, gdyby ona nim rządziła jako prawda. Czyli jeszcze nie rozstrzyga się spraw moralności w ten sposób, że bada się piękno, rozumowane zasady — takich bowiem platońskich idei — nie mamy — lecz jedynie przez rozwiązywanie ich (?) zapomocą zagadnień rzeczywistego życia.

Nie sądzę, aby można było oprzeć etykę na innych podstawach. Zresztą dopełńcie sobie to we wszystkie strony. Ja w tej chwili, kiedy nareszcie, jak mi się zdaje skrystalizowały mi się wyniki zaczętej pracy myślowej kilku lat — czuję się nazbyt szczęśliwym, aby móc chłodno rozumować. Czuję się w posiadaniu cen-

[1] P. Szalitowa, siostra żony Brzozowskiego.

tralnej zasady całego światopoglądu. Przytaczam oddzielne wnioski i konsekwencje.

1. Człowiek jest swobodny. To znaczy sam on na podstawie swych ocen rozstrzygnie czem będzie. Dlaczego. Dlatego, że praca jest siłą przyrody. Praca sprawia, że ideał staje się faktem.
   Praca jest tym boskim żywiołem, w którym natura — praca jest faktem przyrody — staje się ciałem ideału. — Praca jest dziełem woli, podstawą jej panowania nad światem.
2. Naturalizm, który wyprowadza naukę o człowieku z nauki o przyrodzie jest błędem. Człowiek stwarza świat siłą.
3. Idealizm jest błędem. Idea ma władze jedynie poprzez rękę człowieka. Sama przez się światem nie rządzi.

Są to myśli stare jak świat, proste jak tabliczka mnożenia, ale mnie się wydają jedyną możliwą podstawą filozofji.

Pozatem nic nowego u nas: Żona choruje nieco — ja się mam dobrze i cieszę się myślą powrotu. Czekam z niecierpliwością na list — ten jest trzeci z mojej strony. Proszę pozdrowić ode mnie wszystkich — serdeczny uścisk dłoni i wyrazy przyjaźni. *S. B.*

[1907].

Nervi, 10. Kwietnia.

Kochana Towarzyszko!

Wybaczcie mi, żem do Was nie pisał i nie szukajcie żadnych przyczyn, gdyż ich niema. Co znowu za pomysł, że mógłbym mieć do Was jakiś żal. Jeżeli mam to tylko za to, że tracicie Wasz czas, którego macie tak mało na pracę z moimi artykułami. Dziękuję Wam bardzo serdecznie za Waszą życzliwą gorliwość, ale zapewniam Was, że gra ta świec nie warta. Artykuł nie był ani dobrze napisany, ani nowy w treści. Mniejsza o to zresztą: nie martwię się nieuchronną odmową Kautskiego. Szkoda tylko mi waszego czasu.

Ja czuję się głupio pod wszystkiemi względami.

Nie mam gdzie pisać. Przegląd[2]) artykuły moje przetrzymuje tak długo, aż stają się spóźnionemi. Kijowski Świt drukuje, ale za to jego nikt nie czyta. Piszę dla Przeglądu Filozoficznego Weryhy. Wczoraj wysłałem mu artykuł p. t.: Epigenetyczna teorja historji[3]). Podczas obmyślania go byłem zadowolony. Gdybym był mógł nad nim pracować 2 miesiące zamiast 4 dni byłby pewno coś wart. Obecnie nie jest tem, czemby być mógł, i boję się, że jest poprostu niczem. Teraz na wyraźne żądanie Weryhy poślę artykuł o Filozofji Nietschego. Napisałem czwartą część. Coś nie coś będzie tu dobre. Ale jak mi już obrzydło płodzić te rzeczy koszlawe, pozbawione formy, nijakie, nie macie pojęcia. Papier i pióro przejmują mnie wstrętem, bo czuję, że nie uda mi się nigdy napisać nic, coby było sobie wystarczającą całością.

Będę też pisał o Sorelu dla Weryhy — rzecz inną (?) i motywowaną. Dla Przeglądu Społecznego piszę teraz artykuł komentujący 11 tez Marxa o filozofji Feuerbacha.

Dla Russkiego bagatstwa 2 artykuły o Polsce i Polskiej literaturze.

Dla Świtu napisałem i posłałem artykuły o socjaliźmie, jako powstawaniu prawa oraz o Cyprjanie Norwidzie[4]).

Pozatem pracuję nad 2-ma powieściami. A pomimo to wszystko czuję nieustanną pustkę i mam wewnętrzne poczucie, że próżnuję.

Czytam Herzena, Czernyszewskiego, Proudhona i Feuerbacha — wszystko to dla książki o Marksie.

Muszę jeszcze przeczytać, choć w wyjątkach Hegla, Saint Simona, Fouriera, Ricardo, Malthusa i Smitha.

Kiedy to będzie?

Chi lo sa! Jestem zawalony książkami, notatkami, pomysłami. 9/10 nie zrobię z tego, cobym chciał i co potrzeba.

Nie umiem się dziś wypowiedzieć w tem co jest dla mnie najważniejsze: nie mam gdzie, i nie czuję abym miał dla kogo. Nie dlatego, abym czytelnika lekceważył, tylko dlatego, że nie mam zaufania do siebie. Słowem, żyję z poczuciem, że jakaś sprężyna pękła we mnie. Zegar jeszcze bzyka, i wskazówki biegają, ale to już tylko zewnętrzny ruch.

Zewnętrznie dzieje się nie wesoło.

Sierp[5]) mnie zawiódł.

Dawidowa również nie zapłaciła.

Lednicki zebrał w Moskwie jakieś koło ludzi dla wydania moich wykładów. Ale Feldman, będąc w Moskwie dowiódł im czarno na białem, że jestem grafomanem, megalomanem i człowiekiem moralnie nieodpowiedzialnym; całą sprawę djabli wzięli i na dobitek, ja znalazłem się w położeniu względem Lednickiego nad wyraz przykrem.

Pozatem ze zdrowiem mam się nieszczególnie.

Żona chorowała i choruje.

Więc teraz macie już przyczyny, dla których do Was nie pisałem.

[2]) Przegląd społeczny w Warszawie.
[3]) Drukowany w Przeglądzie filozoficznym w r. 1907.
[4]) W „Świcie" r. 1907 artykuły: „Powstawanie prawa", „Testament Cypriana Norwida", oraz „Jerzy Sorel".
[5]) Sierp to tytuł pisma lewicowego, które miało wychodzić w Kijowie i zwróciło się do Brzozowskiego z prośbą o artykuły. W gruncie była to prowokacja policyjna do wejścia w kontakt ze sferami lewicowemi.

Dlaczego do Was nie pisałem, pisząc do innych. Rzecz bardzo prosta. Każdy stosunek ma swój specjalny ton. Jeden jest bardziej abstrakcyjny, inny bardziej osobisty. Wreszcie stosunki osobiste mają również odcienie. Można być w wielkiej i bardzo wielkiej przyjaźni z ludźmi, a pomimo to nie poruszać w rozmowie z nimi pewnych spraw. Mój stosunek do Was był i jest koleżeńsko - przyjacielski. Wiedziałem, że pisząc do Was zacznę wyśpiewywać wszystkie jeremjady, co nie jest rzeczą miłą, ani dla mnie ani dla Was.

Ściskam serdecznie dłoń, pozdrówcie odemnie Siostry. Zgubiłem Wasz adres i piszę pod adresem pana Rafała Dla (słowo nieczytelne) i pani Wuli[6]) łączę pozdrowienia. *St. B.*

[1908].

Droga Towarzyszko!

Jest w drodze, gdy to piszę żądanie, a raczej prośba do Moraczewskiego i Piłsudskiego, aby zechcieli być moimi sędziami i w porozumieniu z partjami złożyli sąd na mnie. Nie mogę zwracać się do samych partji, które już mię potępiły, znaczyłoby to iść dobrowolnie pod nóż i zgóry już dawać aprobatę pod wyrok już wygłoszony. Sąd musi (zabezpieczać) dawać rękojmię bezstronności. Chciałbym, aby sąd odbył się jak najprędzej, ale oczywiście musi być urządzony jak naj poważniej. Niemam najmniejszego zaufania do bezstronności partji w tym (się) stanie zacietrzewienia w jakiem się znajdują. Sąd musi zawierać elementy niezależne od partji.

Prośba do Moraczewskiego i Piłsudskiego wysłana była w dwóch egzemplarzach do Wiednia i do (Krakowa) Lwowa. Partje drukując artykuły uniemożliwiły mi zwrócenie się bezpośrednio do nich. Prosiłem już Szalita[7]) i proszę pana Rafała[8]), aby wszelkie moje niezużytkowane zaprzeczenia odesłali Moraczewskiemu i Piłsudskiemu, jeżeli prośbę moją spełnią. Sądząc z tego, co pisano mi z Wiednia — Moraczewski nie odmówi. Tak jak sprawy stoją — partje i ja jesteśmy stronami, partje mnie sądzić nie mogą — pragnę tylko przedłożyć dokumenty sądowi. Wybrałem Piłsudskiego, którego nie znam — Moraczewskiemu nikt też chyba nie ośmieli się odmówić kompetencji.

Ściskam Was *St. B.*

[6]) Żona adwokata lwowskiego i działacza socjalistycznego, zmarłego dziś dra Rafała Bubera, jednego z najbliższych przyjaciół Brzozowskiego.
[7]) Szwagier Brzozowskiego.
[8]) Bubera.

**JULJUSZ WIT**

## Z cyklu „Ciało i kraty"

*Pod rozpostartym żaglem sinej jesieni:*
*srebrnego odpływu księżyca*
*odpływa w noc*
*więzienie*

*cela za celą*
*nabita*
*milczącym dynamitem*
*pożółkłych twarzy*
*płonących mózgów*

*przykryta kocem nocy*

*noc odpływa*
*wstrząsana*
*kaszlem suchotników*
*nagłym odgłosem wystrzałów*
*gwizdem*
*dalekich lokomotyw*

*słychać:*
*dudnią w sklepionej hali*
*w noc więzienną*
*kroki strażników*

*włócza strażnicy nocnemi krokami*
*od celi do celi*
*przystają ciemno*
*zapalają noże świateł*
*za celą*
*cela*

*noc*
*północ*
*która godzina*
*czy świta*

*wieje więzienie odpływem w noc*
*żagiel jesieni*
*jasność sina:*

*to księżyc*
*okrągłą gębę w ciebie wlepia*

*księżyc bezsenny*
*jak w kłębach dymu*
*podejrzliwy dozorca:*

*światłem*
*i świtem*
*oślepia*

**WOLNA TRYBUNA**

# JAKA AWANGARDA?

W nr. 4 (13) „Okolicy Poetów" napotkałem następujące zdanie Stanisława Czernika: „Pochód naszej poezji współczesnej przedstawia się bądź co bądź oryginalnie: liczna, silna i dumna awangarda, — liczna, nędzna i ciurowata arjergarda, — oraz liczebnie, a w dużym stopniu też jakościowo słaby trzon środkowy". Nie chodzi mi tutaj oczywiście ani o ten „trzon środkowy", ani tembardziej o arjergardę, ale właśnie o tę „liczną, silną i dumną awangardę". Jaka awangarda i gdzie? Bo jeżeli ta „liczna", ta, co się mieni „awangardą", to, niestety, ona nią nie jest; a jeżeli ta „silna i dumna", to ta właśnie jest bardzo nieliczna w Polsce. Do niej również i ja mam zaszczyt się liczyć, dlatego chcę pokrótce wyjaśnić, co pod tym bardzo obowiązującym, a tak dziś nadużytym terminem rozumiem.

Istotą awangardowości danego poety jest dla mnie: 1) przyrodzone bogactwo duchowe, 2) bogactwo nabyte przez wiedzę. W naszej t. zw. samozwańczo „awangardzie" nie spostrzegam ani jednego, ani drugiego. Sami nie potrafili stworzyć, ani ugruntować swojej estetyki ani teoretycznie, to znaczy tak, ażeby mogła się ostać wobec światła najnowszej wiedzy w tej dziedzinie, ani tembardziej faktycznie, to znaczy przez swoje utwory, jako nowe zdobycze artystyczne. Słabości tych zdobyczy usiłują podeprzeć i rozreklamować swojemi rzekomemi dowodami teoretycznemi, których naiwność stoi na poziomie wiedzy w tej dziedzinie z czasów bodaj jeszcze conajmniej przed Boileau. Posądzać ich o znajomość z tej dziedziny prawdziwie awangardowych sformułowań estetycznych Norwida czy Brzozowskiego, to byłoby szczytem herezji. A już do białej gorączki mogłoby ich doprowadzić nazwisko Benedetta Croce'go, T. S. Eliota, Carnapa, Richardsa lub Edwarda Abramowskiego. To rozbrajające nieuctwo pozwala im występować ze swemi domorosłemi hasłami z tupetem, przechodzącym wszelką miarę. A rezultat tego? Legjony ciurów, ciągnących w ogonie kilku zdolniejszych, lecz zdziwaczałych wskutek swego programowego nieuctwa, poetów - nowatorów, i orgja rozpętanego grafomaństwa, liczniejszego bez porównania, niż dziedzictwo tego rodzaju Tuwima.

Mógłbym tu przytoczyć sformułowania Norwida lub któregoś z nowoczesnych teoretyków estetyki zagranicą, czem jest w istocie awangarda w sztuce, ale wolę się ograniczyć do najbardziej zrozumiałego, Stanisława Brzozowskiego, choć dla naszych „awangardzistów" i to nawet będzie objawieniem (z ostatnio wyszłej „Kultury i życia", str. 52): „. .jest sztuka wolą do wyzwolenia życia, do rozpętania wszystkich jego potęg, do uskrzydlenia wszystkich jego mocy, do napojenia purpurą krwi wszystkich jego tęsknot. Wierzymy w nią, gdyż w niej właśnie prowadzimy najgłębszą i najpoważniejszą walkę o *siebie*, w niej odsłaniają się nam najistotniejsze głębie i najpromienniejsze szczyty. Każda *treść* w dziele sztuki ujawniona, jest wywalczona, zdobyta, przeżyta, zawiera więc w sobie ciężar własny i powagę własną rzeczy głęboko istniejących, jest tem, co krępuje i wyzwala, przeznaczeniem lub zwycięstwem, w każdym razie czemś, czego niezawisłe istnienie mierzymy swoim wysiłkiem, swoją rozkoszą, swoim bólem. *Nie jest wytworem myśli*, jest realnością kanciastą, zagłębiającą okrutnie i boleśnie w duszę naszą swe ostrza. *Walka z nią, z jej nieokreślonością, usiłowanie oddania jej niezawisłego, indywidualnego kształtu, tworzy rdzeń wysiłków formalnych w sztuce*. Ona to — ta walka z nieokreślonością własnych czynów i sił, które tym czynom się przeciwstawiają — rozsadza zawsze wszelki sztywniejący szablon w sztuce: manierę. *Styl własny, forma własna — nie wynajdują się i nie wymyślają*. Jedna jest tylko droga do nich prowadząca — życie własne. „Wizjonersko sięga do istoty rzeczy" ten tylko, kto się z nią w sobie samym zmaga, kto jest nie odzwierciadlaczem, nie wędrownikiem, poszukującym osobliwości i dziwów, lecz walczącą, zmagającą się i przez to właśnie twórczą-jaźnią".

Gdzież są te świetne wiersze, te porywające głębią myślową i odczuciową poematy, w których by się odzwierciadlała ta „jaźń" naszej, na pociechę sobie mieniącej się tem mianem, awangardy? „Sztuka jest dziedziną — przytoczmy dalej, jakby w odpowiedzi na to,

# DYSKUSJA O INTELIGENCJI

## I

### NEPOROZUMIENIA.

„Musimy zwrócić uwagę na trzy biedy: Pierwszą biedą są **urzędnicy, nazbyt rozbudowani co do liczby i wysokości poborów...**
17. X. 1930.

„**Ludzi bez pracy** jest w urzędach więcej niż **trzecia część, to napewno...**"
28. XI. 1930.

Józef Piłsudski na Radach Gabinetowych (według Składkowskiego „Strzępów").

Więc najpierw wyjaśnijmy nieporozumienia.

Stanisław Salzman („Sygnały" nr. 17), kwestjonując objektywną wartość mej tezy o stabilizującej roli, jaką w rewolucjach faszystowskich odgrywa inteligencja pozaprodukcyjna, w szczególności zaś jej odłam urzędniczy, dużą część swego artykułu poświęcił wyjaśnianiu pewnych niejasności natury stylistycznej i werbalnej raczej, niż rzeczowej, a utrudniających, jego zdaniem, z czem zresztą się przeważnie zgadzam, dyskusję nad kwestją zasadniczą, jaką jest rola inteligencji w procesach ustrojowych współczesnej Europy.

Takiem typowem nieporozumieniem, dającem Salzmanowi asumpt do wcale obszernych i pouczających wywodów, dość luźno związanych z materją mego artykułu, jest twierdzenie, jakobym De Manowi przypisywał ojcostwo pojęcia „międzyklasy". W tem samem zdaniu piszę bowiem o pracach Bertha („Les mefaits des intellectuells"), Orgejaniego („Czem jest inteligencja?"), Sorela (z cytatem z „Les illusions du progrès"), autorów, którzy wszyscy przed znaną i modną pracą De Mana „Die Intellectuellen und der Sozialismus" (1926) pisali o inteligencji, jako o międzyklasie. Pisząc o De Manie, robiłem to przykładowo, ze względu na znaczenie praktyczne i pozytywne, jakie autor „Plan du travail" tej właśnie grupie przypisuje, w czem leży oryginalna strona tez belgijskiego ministra. Za wynik podobnego nieporozumienia, nie wypływającego, zdaje się, ze szczególnie sumiennego poznania treści mego artykułu, muszę uważać także długi wywód Salzmana, w którym stara się wykazać, że „Marks klasy wcale nie wynalazł", czego, o ile pamiętam, nawet w zamierzchłem dzieciństwie nigdy nie twierdziłem. Zgadzam się co do tego najzupełniej z Salzmanem; interesujący wywód historyczny, który rozwinął Salzman na ten temat, mógłbym uzupełnić tym tylko drobnym szczególikiem, że także i zasadnicze tezy historjozoficzne materjalizmu dziejowego zjawiły się, jak to już dość dawno (1892) wykazał w swej pracy „Zur Kenntniss des Marxismus" Mülberg, chronologicznie wcześniej u autora „La Philosophie de la misere", aniżeli u twórcy „Les miseres de la philosophie".

Nie mogę jednak odmówić pewnej słuszności uczynionemu mi przez Salzmana zarzutowi, że jeśli piszemy o roli antagonizmów w Marksowskim poglądzie na dzieje, ściślej i lepiej jest mówić o walce dwóch obozów, aniżeli „dwóch tylko klas", z tem, że wyraz „tylko" w rzeczonem zdaniu mego artykułu wcale nie figurował. W istocie szło mi o dychotomiczność podziału Marksowskiego całej ludzkości na wyzyskujących i wyzyskiwanych; przez zastosowanie wyrazu „klasa", na miejsce proponowanego przez Salzmana wyrazu „obóz", mimowoli spowodowałem nieporozumienie, wprowadzając terminologję używaną przez wulgarzystów marksizmu, najniebezpieczniejszych szkodników wszelkiego socjalizmu.

### KLASA I CENZOR

Nie mogę niestety nazwać nieporozumieniem tego ustępu artykułu Salzmana, w którym, jak sam stwierdza, „wyczytał między wierszami" mego artykułu, że identyfikuję „przedmiotową przynależność klasową z subjektywnem poczuciem tej przynależności". Czytanie między wierszami było (za czasów zaborczych naturalnie) specjalnością urzędników, zawodowo trudniących się czytaniem cudzych listów i t. zw. cenzurą. Dochodzili oni w czytaniu „między wierszami" do tak bajecznej wprawy, że nawet u najprawomyślniejszych autorów potrafili znaleźć poglądy światoburcze i niebezpieczne dla ustroju, przeważnie zresztą niezgodne z istotnemi poglądami rzeczowych pisarzy. Metoda ta, zastosowana w polemice przez Salzmana, ma tę niedogodność, że utrudnia ogromnie dyskusję, skoro można przy jej pomocy przypisać przeciwnikowi najzupełniej dowolne poglądy, których się osobiście nie lubi, i na których temat chętnieby się coś powiedziało. Muszę niestety stanowczo zaprotestować przeciw przypisywaniu mi poglądów, których zwolennikiem nigdy nie byłem.

Klasy społeczne, istniejące w społeczeństwie, są rezultatami długotrwałych procesów historycznych; jak wszystkie byty dziejowe, mają one swe okresy narodzin, krystalizacji, rozkwitu i rozpadu. Węzły, łączące członków klasy, są natury historycznej, podobnie jak węzły narodowe. Obok podobieństw położenia materjalnego, pewnej najogólniej pojętej wspólnoty interesów gospodarczych łączą członków klasy węzły natury moralnej, kulturalnej, obyczajowej. Klasa skrystalizowana posiada swą własną kulturę, własną moralność, własny obyczaj; sprawa subjektywnej świadomości klasowej nie odgrywa tu dużej roli, zwłaszcza w klasach młodszych historycznie. Jest to raczej derywacja dość późna, podobnie jak i uświadomiona solidarność klasowa.

Za derywację ostatniorzędną uważam też partje polityczne, uważające się za reprezentantki ruchów klasowych, w większości wypadków, w demokracjach mieszczańskich, będące przedsiębiorstwami, zabezpieczającemi sobie stałą klijentelę przez wzięcie monopolu na reprezentowanie interesów danej klasy.

Od subjektywnej świadomości klasowej, noszącej charakter koncepcji rozumowej, należy jednak odróżnić instynkt klasowy, stanowiący już nie derywację, ale residuum, wypływający z podświadomego życia masy, a przejawiający się w manifestacjach solidarnych, we wspólnocie walki o pewne przywileje etc. Walka o przywilej pierwszeństwa w prawach kształcenia dzieci jest dla mnie typowym przykładem rodzącego się wśród inteligencji urzędniczej instynktu klasowego. Solidarność klasowa, przebijająca w spontanicznych manifestacjach walczącego proletarjatu, należy do najpiękniejszych i szczytowych form instynktu klasowego, w znacznym, choć niezupełnym jeszcze stopniu, uświadomionego.

Kultura własna danej klasy, mówiąc za Brzozowskim, kultura „cząstkowa" danej klasy, występuje na jaw dopiero w późniejszych okresach życia klasy. Rodzaj tej kultury zależy w znacznym stopniu od stosunku danej klasy do procesu produkcji, produkcji materjalnej w pierwszym rzędzie. Jeśli Salzman widzi w występującym u wszystkich uczniów Proudhona, z Sorelem na czele, kulcie produkcji refleks Saint-Simonowskiego mechanicznego podziału na produkujących i nieprodukujących, to zdaje mi się, ignoruje istotny sens koncepcji klasy, jako samodzielnej jednostki kulturotwórczej, organizmu, żyjącego własną, wypływającą ze stosunku do produkcji, moralnością, własnem poczuciem ładu, własną tradycją. Inna sprawa, że własna kultura i moralność występują dopiero w klasach historycznie dojrzałych, o elitach prężnych i władczych, dlatego też sumienna analiza pochodzenia jest tak niezbędna przy ocenie grup, powstałych z procesu deklasacji. Inteligencja dzisiejsza dziedzicząc po mieszczaństwie jego tradycję i ideologję, narzuciłaby je też chętnie klasom robotniczym — co stanowi istotne niebezpieczeństwo dla cywilizacji, której losy zależą od powodzenia rewolucji, ustalającej ład moralny odmienny od mieszczańskiego.

Dziwię się osobiście, gdzie Salzman dojrzał choćby słaby odcień tryumfu w twierdzeniu mojem, że rzeczywistość „miała charakter bardziej skomplikowany, niż dopuszczały do tego syntezy Marksa". Metoda dialektyczna, subtelne i poniekąd doskonałe narzędzie w badaniu zjawisk społecznych na platformie teoretycznej, traci swe uniwersalne znaczenie wobec procesów, w których czynniki religijne i moralne odgrywają rolę równorzędną z gospodarczemi, a do których należą wszystkie bezmała rewolucje totalne ostatniej doby, z rosyjską w pierwszym rzędzie. Dlatego też i badacz, stosujący metodę Marksa jako zasadniczą, musi w analizie dzisiejszej rzeczywistości historycznej uwzględniać w najszerszem tego słowa znaczeniu wpływ tych czynników, odrzucanych zazwyczaj lub niedocenianych przez ortodoksję marksistowską, a niezbędnych dla zrozumienia zjawisk tak skomplikowanych, jak rewolucje faszystowskie i ruchy nacjonalistyczne dzisiejszej doby. Doskonałym przykładem takiej analizy, opartej o metodę dialektyczną, a pozbawionej jednostronności, tkwiących wciąż jeszcze w XIX. wiecznym scientyzmie ortodoksów, jest ostatnia książka czesko-niemieckiego socjaldemokraty E. Franzla „Abendländische Revolution" (Bratislava 1936), w której autor dochodzi do postulatu „rewolucji konserwatywnej", identycznego z hasłami, rzuconemi swego czasu przez Moeller van den Bruck'a, a stanowiącemi credo znacznego odłamu narodowego socjalizmu Niemiec. Zgodność wyników Franzla z wynikami teoretyków lewej strony N. S. D. A. P. i lewicy faszystowskiej, jak G. Ferriego, świadczy o tem, że każda wyczerpująca i uczciwa analiza, uwzględniająca wielostronność dzisiejszego przesilenia, doprowadza do wniosków pozytywnych i praktycznych, bez względu na szkołę, z której autor się wywodzi i obóz polityczny, do którego należy.

Zdaniem Salzmana nie doceniam znaczenia grup „monokapitalistycznych" w rewolucjach faszystowskich. Wydaje mi się jednak, że idea intrygi burżuazyjnej, idea „spisku kapitalistów" jest zbyt prosta, żeby była prawdziwa; muszę wyrazić zdziwienie, że Salzman, marksista oświecony, wyraża co do genezy faszyzmów poglądy, mogące zadowolić tylko najbardziej symplicystycznych wyznawców „wulgaryzmu" marksistowskiego. Dla mnie faszyzm to jednak nietylko bankierzy medjolańscy i p. Toeplitz, ale też i duchowy spadkobierca nauk Corradini'ego, narodowy socjalizm — to nietylko „Langnamenverein" (po polsku „Lewjatan"), dyktujący dziś gospodarczą i zagraniczną politykę Rzeszy, ale też i „Alte Garde", „Deutsche Glaubensbewegung", cała przedziwna legenda Horst Wessela i pamięć chłopskiej rewolucji Claus'a. To nietylko Göring i Thyssen i oficjalna ideologja Rosenberga ale i ta Moeller van den Brucka, tak głęboko tkwiąca w szeregach SA i SS, jak ukryte są w podziemiach konspiracji miecze i młoty, odznaki „Czarnego frontu" pod bronzowym drelichem koszul ze swastyką.

### WSPÓLNOTA I RÓŻNICE

Istnieje głęboka i zasadnicza różnica pomiędzy pojęciami objektywnej wspólnoty interesów a podobnem położeniem materjalnem. Podobne położenie gospodarcze jakichś grup może być tłem, na którem powstaje wspólnota interesów między temi grupami, ale nie musi. Możliwe są wypadki, gdy interesy są przeciwstawne, mimo podobieństwa położenia. Niema wtedy mowy o wspólnej bazie ekonomicznej dla danych grup, nie może być też mowy o wspólnym mianowniku klasowym. Zwłaszcza w wypadkach, gdy jedna grupa utrzymuje się kosztem wartości, wytwarzanych przez inne, z pracy innych.

Jeszcze kilka słów wyjaśnienia. Pod terminem „inteligencja techniczna" rozumiałem wszystkich pracowników umysłowych instytucji gospodarczych, przemysłu, komunikacji, bankowości, handlu, etc., w odróżnieniu od „marginesów", warstwy urzędników publicznych, wolnych zawodów, etc. Być może, że termin ten nie jest najszczęśliwszym, niestety, nie nasuwał mi się inny.

Salzman ma niewątpliwie rację, gdy twierdzi, że w ostatnich czasach znaczna część inteligencji pracującej zyskuje wspólną bazę ekonomiczną z całym światem pracy fizycznej. Tą bazę zyskuje inteligencja „techniczna"; szereg zjawisk, jak solidarne wystąpienie zrzeszeń zawodowych tej grupy w jednej linji ze zrzeszeniami ro-



Brzozowskiego — w której każda jaźń może i musi być sobą — z nieubłaganością bezwzględną wydobywa na jaw najtajniejsze prawdy; niepodobna zataić w niej i przed nią, jest nielitościwa, niepodobna jej przekupić, spod najbardziej przeciążonych — barokową uroczystością okresów — występuje biedna, głęboko ludzka nieudolność, niemoc i niewiara. Wielu potrzebna jest sztuka — aby ujawnić w niej to, czego życie ujawnić i wyzwolić nie pozwala. Ci idą do sztuki, bo im życie nie wystarcza. Lecz inni idą do niej dlatego, iż sami już nie wystarczają życiu, niezdolność swą i bezsilę uważają za wyższość, sztuka ma już być ostatniem ocaleniem, ostatnim wysiłkiem wmówienia w siebie samych, że jeszcze istnieją, rozpaczliwą próbą samoomamienia, z dniem każdym w biednych tych i bladych duszyczkach powstającej, rodzącej się *nicości*. Ale zdradziecka rzeczą jest sztuka..."

Awangarda we Francji z Apollinaire'em na czele dała w duchowem następstwie zwycięstwo pod Verdun, Alzację i Lotaryngję na rzecz Francji i Traktat Wersalski; awangarda we Włoszech z Marinettim na czele dała faszyzm; awangarda w Rosji z Majakowskim dała rewolucję — a nasza awangarda, rekrutująca się przeważnie z tęskniących do parcelacji pańskich dworów i państwowych lasów rodzimych naszych kułaków i ćmoków, zapatrzona we własny pępek metaforyczny — co przedstawia sobą, co przynosi, jako wróżba, jako „rzut woli" na przyszłość?

Brzozowski mówi: „Plagą trapiącą wszystko, co jest duchowo roturier, wszelkie parwenjuszowstwo jest przekonanie, że miarą dostojeństwa każdej rzeczy jest odległość jej od nas, jest brak szacunku dla samego siebie, dla własnej istoty, jest nieustanna, instynktowna dążność do sięgania po to, co jest od nas najdalsze, najodleglejsze, aby za jego pomocą siebie samego uświetnić. Dusza wytworna — ma w sobie poczucie, iż jest źródłem i istotą wszelkiej wytworności, że wszelka świetność z niej promieniuje i wypływa. *Parwenjusz szuka światła zawsze poza sobą, wszelka dostojność i piękno jest dla niego czemś, co trzeba sobie narzucić jak tatuaż.* Ponieważ nie wierzy w siebie, nie ma więc żadnej miary w sobie, wszystko, co jest wartością i miarą — leży dla niego poza nim. *Stąd nieuniknioność przeciążenia, barbarzyńska pstrokacizna, stąd nienasyconość w przyozdabianiu samego siebie w coraz to nowe, w coraz to odleglejsze, trudniejsze do zdobycia świecidełka,* ażeby wreszcie pod ich ciężarem uwierzyć w siebie. Rozpatrzcie się w stylu, języku samym, czy nie jest to nieustanna pogoń za słowem możliwie najdalszem, nieprzezwyciężona niewiara w to wszystko, co naturalne, bliskie, własne? A jednak mimo nagromadzenia najodleglejszych świateł — jest tu ciemno. W tej kolekcji nawet Syrjusz staje się kotyljonowym orderem".

Amen!

**Marjan Piechal**

botniczemi świadczy o tem, że sprawa ta dojrzewa i staje się zwolna sprawą świadomą. Natomiast nie ma racji Salzman, gdy twierdzi, że ta wspólna baza gospodarcza obejmuje też i gorzej płatnych urzędników publicznych. Najlepiej udowodniłby to może pierwszy lepszy robotnik, n. p. nasz cieśla fabryczny, płacący ze swego 75 złotowego zarobku miesięcznego 9,80 zł. na podatek i instytucje publiczne, korzystania z których pociąga za sobą dodatkowe kwoty i nie jest żadną miarą współmierne z wartością (rynkową) usług tych instytucyj.

Obniżki płac urzędniczych nie budzą szczególnego współczucia u wspomnianego cieśli, nie widzi on najmniejszej potrzeby do wyrażania swego oburzenia z tego powodu. Sądzę, że nasz cieśla jest człowiekiem realnym i trzeźwym i że jest mu chyba nieco trudno płacić za synka w gimnazjum pełną taksę szkolną. Ale płaci.

Istnieje głęboka i zasadnicza różnica pomiędzy pojęciami objektywnej wspólnoty interesów, a podobnem położeniem materjalnem.

Państwa nowoczesne o ustroju faszystowskim lub zbliżonym rozbudowały swój system fiskalny w sposób nieznany przedtem, obarczając nim tak warsztaty, jak i ludzi produkcji. Niezawsze podatkiem bezpośrednim — ale podatek nałożony na warsztat odbija się w ustroju kapitalistycznym (a zresztą i w każdym innym ustroju) na wynagrodzeniach i ilości ludzi pracujących w warsztacie. Taka już jest przyroda każdego warsztatu pracy. System fiskalny jest w tych państwach, jakgdyby składową ustroju; rozbudowany aparat państwowy („klasa, która się staje") kosztuje. Poza systemem fiskalnym państwowym istnieje jeszcze ogromny aparat instytucji o charakterze społecznym, różne „Wintersorgen" — potrzebujące pieniędzy... Zdaje mi się, że Salzman nie jest w porządku z teorją, którą wyznaje, gdy pragnie gorzej płatnych członków „klasy, która się staje" wtłoczyć w szeregi świata pracującego i produkującego. Marks podzielił przecież ludzkość na dwa zasadnicze obozy; nasz cieśla jest w innym, niż „pan z okienka", mimo że obaj zarabiają tyle samo. Bo „pan z okienka" żyje z pieniędzy cieśli. I nietylko „pan z okienka"...

## CAETERUM CENSEO...

Sprawa inteligencji i jej przynależności do tego czy innego obozu nie jest i nie może być jeszcze uważana za kwestję zamkniętą. W wielkim procesie rozpędu cywilizacji, stworzonej przez mieszczaństwo, rola poszczególnych grup, wchodzących w skład inteligencji, jest z natury rzeczy ogromnie złożona. O ile pewne odłamy, określone przeze mnie ogólnie mianem inteligencji technicznej, zajmują wobec przekształceń, w których łamie się dzisiejsza Europa, coraz wyraźniej miejsce świata pracy i walki, o tyle w równie dużym odłamie inteligencji urzędniczej dały się zauważyć pewne zjawiska, świadczące o coraz silniej rysującej się odrębności klasowej, powstałej w wyniku wyodrębnionej pozycji gospodarczej i szczególnych, związanych z ustrojem, funkcji społecznych. Grupa ta, pozostająca objektywnie (mimo częstokroć spotykanych subjektywnych skłonności do radykalnego patosu) poza nawiasem świata pracy, odgrywa w toczących się dziś w Europie procesach ustrojowych rolę stabilizatora na szczeblu ustroju faszystowskiego, ustroju solidarystycznego w zasadzie, opartego o argument przemocy.

Inne grupy inteligencji pozaproduktywnej, żyjące na marginesach produkcji materjalnej, zachowały nadal charakter bliżej nieokreślonej międzyklasy, z natury rzeczy czynnika niepokoju i fermentu, o tyle niegroźnego, że całkowicie pozbawionego elementów siły. Grupy te, zbliżone do lumpenproletarjatu tak pochodzeniem, jak i ruchliwością, mogą odegrać dużą rolę w walce o nowy wyraz kultury. *Ta rola będzie tem większa, im dalej potrafią one zajść w oderwaniu się swem i przezwyciężeniu cywilizacji mieszczańskiej i wrosnąć w nowy świat, w nowe religje, dalekie i wrogie bogom optymistycznego racjonalizmu.* Powtórzę za Bendą: „*W każdym wypadku wydaje mi się rzeczą ważną, że istnieją ludzie, którzy, choćby się z nich nawet kpiło, nawracają swych bliźnich na religje inne, niż religja doczesności. Tych nazywam „klerkami*" („La Trahison des Clercs").

**Bolesław Zubrzycki**



## II

Korzystając z uprzejmości Redakcji „Sygnałów" pozwolę sobie odpowiedzieć pokrótce na wyjaśnienia autora „Marginesów walki". Bardzo ucieszyło mnie zapewnienie Zubrzyckiego, że dzielą nas przeważnie tylko nieporozumienia wynikłe z zawinionych przez niego niejasności stylistycznych czy werbalnych. Niestety, jednak pewne ustępy wyjaśnień Zubrzyckiego wskazywałyby mimo wszystko na to, że nietylko niejasności werbalne, lecz i różnice merytoryczne były źródłem naszej polemiki.

Starając się wykazać, że „Marks klasy wcale nie wynalazł", nie imputowałem bynajmniej autorowi „Marginesów walki" jakoby twierdził coś wręcz przeciwnego. Ponieważ jednak Zubrzycki poddał krytyce marksowskie pojęcie klasy, uważałem za stosowne podkreślić, że pojęcie klasy u Marksa nie było „typowym skrótem myślowym", odbiegającym rzekomo od zawiłej rzeczywistości, lecz że było i jest naukowem sformułowaniem objektywnie istniejących zjawisk i procesów. Pragnąłem poprostu wykazać, że djalektyczna koncepcja klasy społecznej odtwarza najzupełniej wiernie przemiany i procesy, dokonywujące się na płaszczyźnie życia zbiorowego.

A teraz sprawa dwu klas czy dwu obozów klas. Wbrew pozorom nie jest to tylko kwestja takiej czy innej terminologji. Gdybyśmy bowiem przyjęli, że istnieją jedynie dwie klasy, burżuazja i proletarjat, to wtedy logiczną konsekwencją takiego stanowiska byłoby uznanie „monolityczności" tych obu zwalczających się klas przy równoczesnem zignorowaniu wszelkich społecznych formacyj pośrednich. W takim wypadku nie możnaby było odmówić słuszności przeprowadzonej przez Zubrzyckiego krytyce marksizmu. Jak się jednak obecnie okazuje, Zubrzyckiemu idzie wogóle o dychotomiczność podziału ludzkości na wyzyskujących i wyzyskiwanych. Ten to właśnie podział wydaje mu się prawdopodobnie „daleko idącem uogólnieniem" zawiłej rzeczywistości. Niestety, nigdzie w wyjaśnieniach Zubrzyckiego nie znaleźliśmy dość ważkich argumentów, które mogłyby postawić choćby pod znakiem zapytania tę dwudzielność struktury społecznej u Marksa. Jeśli Marks i Engels mówią o wyzyskiwaczach i wyzyskiwanych, o posiadających i nieposiadających, to mają na myśli w pierwszym rzędzie zagadnienie stosunku do narzędzi produkcji. Są klasy, które posiadają te narzędzia i są też inne, które ich nie posiadają, są klasy, które żyją z pracy innych i są też klasy, które wzamian za swoją pracę otrzymują tylko ochłapy.

Wyznaję ze skruchą, że nie rozumiem subtelnego odróżnienia objektywnej wspólnoty interesów ekonomicznych od położenia materjalnego. Dla mnie są to synonimy i tylko synonimy.

Pisze Zubrzycki o inteligencji urzędniczej, że żyje z pracy innych grup społecznych, co przekreślałoby oczywista możliwość istnienia wspólnej bazy ekonomicznej dla tego odłamu inteligencji i dla klas pracujących. Otóż zdaje mi się, że urzędnik, ów „pan z okienka", do którego taką awersję czuje autor „Marginesów walki", żyje *przedewszystkiem z własnej pracy. Pracę, ten jedyny towar, jaki posiada do zbycia, sprzedaje państwu, które opłaca go pieniądzmi, pochodzącemi z podatków.*

Czyż jednak z tej genezy pensyj urzędniczych można wysnuwać wnioski, że „pan z okienka" żyje z pracy innych? W takim razie możnaby chyba powiedzieć to samo o inżynierze, którego kapitalista opłaca pieniądzmi, pochodzącemi z wyzysku, o lekarzu, który zabiera pacjentowi ciężko zapracowane grosze i t. d., i t. d. Jak widzimy, takie rozumowanie prowadzi nas prostą drogą do absurdu. *Urzędnik nie ponosi odpowiedzialności, ani za uciążliwy system fiskalny, ani też za zbyt kosztowny aparat biurokratyczny. To jest sprawa państwa, którego nie można przecie utożsamiać z „panem z okienka".*

I dlatego też śmiem twierdzić wbrew Zubrzyckiemu, że jestem najzupełniej w zgodzie z marksizmem, gdy „usiłuję" dolne warstwy inteligencji urzędniczej „wtłoczyć" w szeregi świata pracy. Inteligencja staje się wszędzie tam balastem rozwoju społecznego, gdzie rolę takiego balastu spełnia naogół większość drobnomieszczaństwa. Przykładem Niemcy, Włochy, a poniekąd też Austrja i Węgry. Tam natomiast, gdzie jak w Francji drobnomieszczaństwo kultywuje żywe tradycje minionych rewolucyj „ludowych", tam warstwy urzędnicze szukają dróg porozumienia z resztą świata pracy. *Pod wpływem kryzysu warstwy „średnie" tracą prędzej czy później iluzje, oparte bądźto na fakcie posiadania technicznie zacofanych środków produkcji, bądźteż na perspektywach usamodzielnienia się w przyszłości, a wraz z wyzbyciem się tych złudzeń krystalizuje się coraz wyraźniej świadomość wspólnoty interesów, łączącej spauperyzowane drobnomieszczaństwo z proletarjatem.* Wiadomo przecie, że francuscy „panowie z okienek" niejednokrotnie już dawali wyraz swym sympatjom dla Frontu Ludowego, a z drugiej strony przyszły premjer Francji Blum zapowiada cofnięcie dekretu o redukcjach poborów urzędniczych.

Zubrzycki krzywdzi ortodoksyjnych marksistów, pomawiając ich o odrzucanie lub niedocenianie roli czynników religijnych i moralnych w procesach społecznych. Marksizm oparty jest na monistycznym poglądzie na świat. W jego ujęciu życie społeczne stanowi jedność, w której „podstawa" materjalna i „nadbudowa" ideologiczna są korelatami. Byt określa świadomość, ale z drugiej strony świadomość na pewnym szczeblu rozwojowym wpływa znowu na byt, stając się przyczyną dalekoidących przekształceń w „materji" społecznej.

Analizując pewne procesy socjalne i prądy ideowo-polityczne marksizm uwzględnia zawsze owe wszystkie przyczyny częściowe, których zespół złożył się na powstanie danego zjawiska. Ale jak w każdym innym łańcuchu przyczynowym, tak i tu jedne ogniwa są wcześniejsze, a drugie późniejsze, jedne są konstytuujące, a inne znowu dopełniające.

Jeśli idzie o genezę faszyzmu, to muszę wyrazić zdziwienie, że Zubrzycki zamiast wyjaśnić jednostronność swego stanowiska zajętego w „Marginesach Walki", a nieuwzględniającego w faszyźmie roli kapitału, poucza mnie, że faszyzm to nietylko bankierzy i ska, ale i masy, które wyznają fanatycznie te ideologje brunatne czy czarne. Nigdy nie mówiłem, że tak nie jest. Staram się tylko zawsze odróżnić mocodawców od najmitów, graczy od figur na szachownicy i staram się też zawsze konfrontować daną ideologię z jej rzeczywistym korelatem. Nie ulega wątpliwości, że rezerwuarem, dostarczającym faszyzmowi szeregowców są warstwy średnie, które, zniechęcone do ustroju kapitalistycznego i demokracji mieszczańskiej, a niedojrzałe jeszcze na tyle, by przejść na stronę proletarjatu, poddały się nowym iluzjom i uwierzyły w możliwość istnienia antyparlamentarnej, antykapitalistycznej i antysocjalistycznej dyktatury drobnomieszczaństwa. Czyż wodzowie faszystowscy i ich mocodawcy mieli takie same iluzje? Czyż kapitaliści północnowłoscy obawiali się hurraradykalnych i antykapitalistycznych haseł, jakiemi szafował hojnie, dążący do władzy Musolini? I czy wreszcie wielki kapitał niemiecki brał na serjo nacjonal-bolszewickie i ultrademagogiczne tezy programu gospodarczego N. S. D. A. P, ułożonego przez Gotfryda Federa? Skoro od samego początku popierał Hitlera, to musiał widocznie otrzymać od niego uspokajające zapewnienia, że nie taki djabeł straszny, jakim go malują, że w narodowym socjaliźmie treścią istotną jest nacjonalizm, a socjalizm służy tylko za przynętę. I rzeczywiście też po dojściu do władzy radykalizm schowano do lamusa, a Federa posłano na zieloną trawkę. Ale masy S. A. i S. S. wierzyły głęboko w program „nacjonal-bolszewizmu"; dla nich antykapitalistyczne hasła nie były frazesem, lecz najprawdziwszym wyrazem ideologicznym obozu. Kiedy zaś spostrzegły, że wyprowadzono je w pole (podobnie jak za Rewolucji Francuskiej oszukano t. zw. „lud"), wtedy poczęły się buntować. W szeregach ich powstawały i powstają coraz liczniejsze komórki komunistyczne i „czarnofrontowe". I wbrew temu, co mówi Zubrzycki, oficjalny organ Czarnego Frontu „Die Deutsche Revolution" podkreśla z całym naciskiem, że faszyzm niemiecki to właśnie tylko Göring, Thyssen itp.[1]). Dr. Otto Strasser mobilizuje dziś szerokie warstwy drobnomieszczaństwa niemieckiego do walki z faszyzmem o „nowe, socjalistyczne Niemcy". Caeterum censeo: faszyzm był i jest nie dyktaturą „nowej burżuazji" czyli inteligencji urzędniczej, lecz dyktaturą wielkiego kapitału, sprawowaną „dzięki" niedojrzałości polityczno-społecznej drobnomieszczaństwa. Niedojrzałość ta nie jest jednak wieczna...

[1]) Z braku miejsca nie wdaję się tu w ocenę „socjalizmu ludowego" Strassera. Kwestji tej zamierzam poświęcić odrębny artykuł.

**Stanisław Salzman**

**LECH PIWOWAR**

## *MURARZE*

*Najbliższa mi radość-ręka, w której*
*kwitnie kielnia, kwiat biały obsiewający mury*
*mocną wonią zaprawy. Dzieło tuż nad dłonią!*
*Inni słowa swe oddają dzwonom*
*w ciemnej ulicy, ich dom czeka*
*zamieszkany przez sprawy niewidoczne zdaleka.*
*Tu, gdzie głową zaledwie dostaje się podłogi,*
*na której wspinają się jeszcze twórczy ludzie*
*wyciągani za włosy pod umykające sklepienia,*
*jakby im stopy podpalał ogień*
*a rękoma ciągnęli sznur flagi, która nad dachy pójdzie*
*w przestrzenie pustego cienia;*
*tu, wieloma głowami jedną wspierając sprawę,*
*blizcy nieznajomi, mieszkający w sobie wszystkiemi zmysłami,*
*niekończący się tłum oczu, serc, w krwi wrzawie*
*wznoszący jakiś świat, co ziemię przygasza i niebo plami!*
*Zawsze dla ich dzisiaj nadchodzi większe jutro.*
*W otwarte patrzą okna,*
*gdzie widok wabi, jak młoda kobieta samotna;*
*z okien wylatują ptakami, nie wrócą nigdy w te same fale*
*powietrza, przebijając w niem zdobywcze wyloty,*
*nie wrócą ci sami, mężowie zapłodnionych godzin, w których rosną wytrwale*
*piękne owoce światła, dziecięce tęsknoty.*
*Pragnąć! Pragnienia czyste, jak woda, którą się zmywa rany;*
*pragnąć coraz dalej! Najbliższa mi ręka,*
*która sięga po najdalszą radość. W zapachu rosnących ścian*
*murarska mi lśni piosenka.*

FAUSTYN TEA-GAWIŃSKI

# WIEŚ WYZWOLONA

„Genealogja teraźniejszości" ruchu młodo - wiejskiego jest historją usamodzielniania się młodej myśli ludowej, ustawicznych prób szukania i tworzenia własnego, przez nikogo nie narzuconego czy podsuniętego oblicza ideowego. Nie sięga Stojałowskich i Wysłouchów, „Przyjaciela Ludu" lat dziewięćdziesiątych lub wcześniejszych: „Wieńca" i „Pszczółki" — dla „włościan" wydawanych, choć jest historją reakcji przeciwko prądom „odgórnym", patronackim, zjawiającym się na wsi wraz z inteligenckimi działaczami ludowymi, paniusiami i społecznikami najróżnejszego autoramentu, zawsze wytrwałymi dzierżycielami słynnego już kagańca oświaty. W sutannie czy we fraku, w mundurze urzędnika czy bluzie robotnika, z suchotniczym kaszlem „oświatowca" czy histeryczną łezką panienki ze dwora szło się do ludu, kochanego polskiego ludu Racławic, sukman i krakowskich banderyj, aby go oświecić, podnieść kulturalnie i ekonomicznie, uświadomić narodowo, a zawsze za rączkę prowadzić. Pracownicy „dla wsi", „dla ludu" zyskiwali uznanie społeczeństwa, dożywotnie poważanie parafji. Atoli chłop ze wszystkich stron oświecany i żałowany, „kochany lud" otaczany głupkowatym sentymentem, mimo że prowadzony, szedł sam, żyjąc indywidualnem życiem samodzielnego podmiotu, jako wiekowy wytwór odrębnej struktury socjalnej.

W r. 1912 powstało na terenie b. Kongresówki pierwsze samodzielne pismo młodzieży wiejskiej „Drużyna", będące pierworodnym przejawem zrzucania przez młodą myśl ludową obcych, narzuconych schematów. Tajne koła młodzieży wiejskiej o charakterze przeważnie niepodległościowym powstają tam jeszcze przed r. 1910; uczestnicy tych kół odbyli masowo późniejszą kampanję wojenną w legjonach i P. O. W. W r. 1918 na terenie b. Kongresówki działało już ok. 150 Kół Młodzieży Wiejskiej. Równocześnie w Poznańskiem kler, świadomy swoich interesów i dlatego panicznie obawiający się jakichkolwiek przejawów samodzielności wsi, próbuje rozciągnąć „opiekuńcze" wpływy nad samowychowaniem młodych i zakłada Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży, na podstawach klerykalnych, by w ten sposób paraliżować wszelkie próby uniezależnienia się myśli chłopskiej od klerykalno - obszarniczych wędzideł. Później, gdy część pracowników „Drużyny" (Adam Chętnik) przeszła do Zjednoczenia Młodzieży Polskiej, grupującego katolickie, pod opieką kleru działające, stowarzyszenia młodzieży — „Drużyna" przyjmuje nazwę „Nasza Drużyna": lata 1918 i 19. W tym samym czasie na terenie b. Kongresówki rozwijały swą działalność: Centralne Towarzystwo Rolnicze (C. T. R.) — obszarniczo - ziemiańskie, które na krótki czas skupiło w swych ramach niewielką liczbę średnio- i małorolnych, niebawem porzucając próby rozszerzenia działalności na teren chłopski, oraz Centralny Związek Kółek Rolniczych (C. Z. K. R) przy którym powstaje jako autonomiczna sekcja Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej z organem prasowym „Siew", wywodzącym się z „Naszej Drużyny", a redagowanym przez Jana Deca i Józefa Niećkę. Stworzenie C. Z. M. W. jest dalszą reakcją ruchu młodowiejskiego na opiekuńczo-oświatowe metody kół patronackich (w skład ich wchodzili księża, paniusie i bogo - ojczyźniani parafjalni oświatowcy) w związkach młodzieży wiejskiej. Działalność patronatów, prowadzona bez zastrzeżeń w Zjednoczeniu Młodzieży Polskiej, w związkach samodzielnych spotyka się z coraz silniejszą niechęcią: patroni, księża, próbują uzależnić od siebie całkowicie życie danego koła; dalsze nici tej zależności sięgały, rzecz prosta, do kurji diecezjalnej. Odruchy niechęci wywoływali także „oświatowcy", którzy wybierając się na wieś selekcjonowali wiedzę na złą i dobrą, do wsi i chłopa prawie nigdy nie ustosunkowywali się jako do samodzielnego podmiotu, nie szli „ze wsią", ale usiłowali ją prowadzić. Pozatem „oświatowiec" zbyt często przyrosił na wieś z Sienkiewiczem legjony lub Hallera, wielokrotnie „oświata" pieniła się jadem nienawiści politycznej, zadużo partyj wysyłało swoch „oświatowców", którzy mieli chłopa „oświecić" dla siebie, wygrać drzemiący w nim potencjał przeciwko innym partjom.

C. Z. M. W. pierwszy wypracowuje samodzielne, własne metody pracy oświatowej, któremi po dziś dzień posługują się prawie wszystkie związki młodzieży wiejskiej. Działy pracy C. Z. M. W-u są następujące: a) ogólno - oświatowa, b) teatry i chóry, c) wychowanie fizyczne i przysposobienie wojskowe, d) przysposobienie rolnicze, rzecz zupełnie nowa, po raz pierwszy przez C. Z. M. W. wprowadzona. Z sekcji teatrów i chórów powstaje później Zw. Teatrów Ludowych, którego zadaniem jest służenie radą i pomocą wszystkim związkom ludowym w urządzaniu i prowadzeniu teatrów amatorskich. Około r. 1921 przy Małopolskiem Tow. Rolniczem (M. T. R.) organizuje się Mał. Zw. Młodzieży, grupujący koła młodzieży wiejskiej województw południowo-zachodnich. Zakres i formy pracy tych kół są analogiczne do C. Z. M. W. — największy uwagi poświęca się samodzielnej pracy oświatowej, związek współpracuje z C. Z. M. W. Z latami „sejmokracji" nadchodzi okres działalności i wpływów przeróżnych partyj; orjentacja C. Z. M. W-u jest wyraźnie ludowo - radykalna, równocześnie ruch młodowiejski usamodzielnia się coraz bardziej, napawając strachem C. Z. K. R, który pragnął jak najbardziej uzależnić od siebie C. Z. M. W. C. Z. K. R. — opanowany całkowicie przez biurokrację organizacyjną, wywodzącą się z ruchu młodopolskiego — (później Zw. Naprawy Rzplitej a wkońcu B. B. W. R), próbuje ograniczyć autonomję młodych. Między C. Z M. W. a biurokratyczną górą C. Z. K. R-u wybuchają ustawiczne konflikty; przybierają one na gwałtowności po maju 1926, kiedyto C. Z. K. R. został już całkowicie opanowany przez Związek Naprawy Rzplitej. W tym stanie rzeczy C. Z. M. W. postanowił nie podporządkowywać się biurokracji i dążyć do pełnego usamodzielnienia się. C. Z. K. R, chcąc za wszelką cenę podporządkować sobie młodzież, ustanawia bezprawną cenzurę nad pismem „Siew" i zawiesza (także bezprawnie) zarząd C. Z. M. W. Na akcję tę młodzi odpowiedzieli walnym zjazdem delegatów (1928), który jednomyślnie postanowił uniezależnić C. Z. M. W. od C. Z. K. R-u: zewnętrzną oznaką tej uchwały było przemianowanie C. Z. M. W. na Związek Młodzieży Wiejskiej Rzplitej. Ponieważ „Siew" był formalnie własnością C. Z. K. R-u przeto trzeba było stworzyć nowe pismo: tak powstały „Wici". Pomimo, że za uniezależnieniem się od C. Z. K. R-u opowiedział się jednomyślnie cały C. Z. M. W., C. Z. K. R. głosił wszędzie, że w C. Z. M. W. nastąpił tylko rozłam i werbował do dawnego, podówczas już fikcyjnego C. Z. M. W-u nowych członków. Przyszło mu to tem łatwiej, że w starych ramach statutowych istniał nadal fikcyjny C. Z. M. W. i pismo „Siew" — formalna własność C. Z. K. R-u. W sukurs przyszła nagonka instruktorów powiatowych i nacisk władz administracji ogólnej; pod dawny szyld weszli ludzie zupełnie nowi, zdołali stworzyć nowy związek, ale prawie wszyscy starzy, zahartowani działacze młodowiejscy znaleźli się w Zw. Mł. Wiejsk. Rzplitej. „Odmłodzony" C. Z. M. W. stosuje te same formy i metody pracy organizacyjnej, które stworzyli i obecnie unieśli ze sobą „wiciowcy". Czasy pomajowe to okres, w którym każda grupa sanacyjna usiłowała stworzyć swój odpowiednik wśród młodzieży. Małopolskie Związki Młodzieży znajdujące się pod wpływem kułackiego „Piasta", nie mogły przez dłuższy czas połączyć się ze Zw. Mł. Wiejk. Rzplitej. Animozje te datowały się jeszcze od czasów, gdy istniał pierwszy C. Z. M. W., zawsze lewicowy i demokratyczny. W r. 1930 związki małopolskie wyłamały się spod opieki Małop. Tow. Rolniczych (opanowanych przez „Piasta") i same zgłosiły akces do „Wici". Przedtem sprzedano poprostu Polakiewiczowi Związek Młodzieży Ludowej, powstały z bojówek organizowanych dla ochrony wieców „Piasta" przez sekretarza Witosa, Henryka Dzendzla. Nawet „konserwa" podejmuje przez jakiś czas nieudałe próby stworzenia Związku Drużyn Ludowych Mocarstwowej Polski. W listopadzie 1934 wszystkie związki sanacyjne łączą się na rozkaz zgóry w Centralny Związek Młodej Wsi. Połączenie było tylko formalne; rozbicie organizacyjne zachowało się, związki silniejsze pochłaniały słabsze. Federacja „Siewu" i Polakiewicza (Zw. Mł. Lud.) rozleciała się (głośny sąd obywatelski i złożenie mandatu poselskiego), to samo działo się w Krakowskiem, gdzie pracował Styrylski.

„Siew" zmienił nazwę na „Siew Młodej Wsi", z inicjatywy Skwarczyńskiego powołano Centr. Komitet dla spraw Młodzieży Wiejskiej, który miał być „platformą realnej współpracy i porozumienia Młodej Wsi zdala od walk partyjnych". Komitet ma znaczny wpływ na rozdział subwencyj między organizacje młodowiejskie, może zapomocą środków materjalnych wzmóc działalność jednych, podciąć drugich, przywołać w razie potrzeby nacisk władz administracyjnych.

„Wiciowcy" już w r. 1930 zrzekli się wszelkich subsydjów i odtąd pracę w terenie prowadzą własnemi siłami. Wysiłki swoje skierowują przeciwko patronackiej działalności odgórnej kleru i sanacji. Unikają bieżących walk politycznych, całą uwagę poświęcają konsolidacji i pogłębieniu swego ruchu: praca wszystkich kół w terenie ma charakter wychowawczy. Gdy praca wychowawczo - oświatowa, próby wyzwalania własnych sił, potęgowania możliwości, jest już odpowiednio zaawansowana, tak że można spokojnie myśleć o dalszym rozwoju ruchu — „wiciowcy" poczynają wypracowywać zaczątki własnego programu, zwanego agraryzmem, mającego doprowadzić do urzeczywistnienia Polski Ludowej. Mimo to nie opowiadają się za żadnem stronnictwem politycznem, stoją na gruncie jednolitości ruchu chłopskiego; w latach skłócenia ruchu ludowego młodzież „wiciowa" łagodzi tarcia, jest w nim czynnikiem dośrodkowym. Do r. 1931 praca „Wici" ze względu na rozbicie ruchu chłopskiego i z uwagi na konieczność rzetelnego wypracowania i umocnienia podstaw ideowych ruchu młodowiejskiego, miała charakter wyłącznie wychowawczo - oświatowy, dogłębny. Ostatnio „Wici" określiły się politycznie, opowiadając się za Str. Ludowem i uznając je za jedyną reprezentację polityczną wsi. Z drugiej strony Str. Lud. na kongresie odbytym w Warszawie, w dniach 7 i 8 grudnia 1935 uznało Związek Mł. Wiejskiej „Wici" oraz Uniwersytet Orkanowy w Gaci Przeworskiej za „jedyne ludowe kuźnice wychowania obywatelskiego młodzieży w duchu idei Polski Ludowej".

Z trzech samodzielnie przed 1931 r. istniejących stronnictw chłopskich („Piast", „Str. Chłopskie", „Wyzwolenie"), tylko „Wyzwolenie" popierało „Wici" bez zastrzeżeń. „Piast" dąsał się, że za radykalne, Str. Chłopskie też miało zastrzeżenia. I rzecz ciekawa: gdy „Wici" uważano powszechnie za ekspozyturę „Wyzwolenia", w czasie ostatnich wyborów sejmowych, gdy Róg, Malinowski i inni b. przywódcy „Wyzwolenia" przeszli do sanacji, ani jeden „wiciowiec" nie poszedł za nimi.

Z wielu działów pracy społeczno - wychowawczej „Wici" na wsi uległo zahamowaniu tylko przysposobienie rolnicze i wychowanie fizyczne, jako specjalnie kosztowne, wymagające dużych środków materjalnych. Zato ze szczególną intensywnością prowadzą pracę oświatową zapomocą kursów, konferencyj i zespołów oświatowych; takie paszkwile na wieś jak „Grypa" Jalu Kurka spotykają się z niekłamanem oburzeniem uświadomionej wsi. Doskonale redagowane „Chłopskie Życie Gospodarcze" ułatwia młodym orjentację w problemach ekonomicznych wsi. Inną, dla ruchu młodowiejskiego charakterystyczną stroną działalności są spółdzielnie rolnicze dla prowadzenia wiejskich uniwersytetów ludowych. Pierwszy taki uniwersytet powstał w Gaci pod Przeworskiem. Nie przesadzę, gdy historję jego nazwę heroiczną.

W Szycach pod Krakowem istniał Wiejski Uniwersytet Orkanowy, własność Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Gdy Z. N. P. przeszedł całkowicie do sanacji, postanowił uniwersytet, jako zbyt samodzielny i narasta-

EMIL ZEGADŁOWICZ

## *Czarny dzień*

*(fragment)*

*Kiedyś, gdy me odejście zrozumiesz do głębi,*
*gdy pamięć o mnie żywem zatli się ogniskiem —*
*myśl się Twoja kurczowo o moją zazębi*
*i zatęsknisz do mowy mej jak za czemś bliskiem,*

*i zapytasz czem byłem, czem będę, czem jestem,*
*jaka po mnie melodja i słowo zostanie —*
*odpowiedzą Ci chmury, że byłem protestem*
*przeciw wszelkiej małości, me słowo: wołanie!*

*Choć wiedziałem, że braci ze zła nie uleczę,*
*że myśl, mowa i czyny nie zdadzą się na nic —*
*walczyłem do ostatka o serce człowiecze,*
*które nie zna ni wrogów, ni gniewu, ni granic,*

*któż nie wie czem groza nazwana narodem,*
*czem własnych państw niewola nad obcą straszliwsza,*
*stająca wpoprzek drogi przed wielkim pochodem*
*ku przyszłości, co będzie, o wierzaj, szczęśliwsza!*

*Tak oto stałem w pustce pośród zawieruchy*
*i obłędu stu wyznań, religii obłudy,*
*a komu rzekłem: słuchaj! — ten odchodził głuchy,*
*przerażony strasznemi samotności trudy.*

*Lecz nie przestałem wierzyć! — Wiarę przekazuję*
*każdej krwi mej atomem — niech ta wiara krzepi —*
*że jeno ten zwycięży, kto bardzo miłuje,*
*że z marzeń naszych nakaz pozostanie: lepiej!,*

*że nadejdzie kres państwom robotniczą wiosną*
*i nadejdzie wielkości i myśli godzina —*
*i znów narcyzy sercom miłującym wzrosną,*
*z ziemi, z ziemi!! — nie z lufy podłej karabina.*

*I jeszcze Ci powiedzą usty rozwianemi*
*chmury nad Twoim domem lecące w zwichrzeniu,*
*że przed każdą drobiną ukochanej ziemi*
*stawałem jak przed cudem w pokornem olśnieniu.*

*a choć we wszystkiem jeno widziałem mijanie,*
*przetapiałem na radość rozpacz, ból i smutki —*
*bo wierzyłem w poezji nieustanne trwanie*
*i do niej wciąż tęskniłem jak pijak do wódki.*

*Tak! — słuchałem śpiewania pełznących korzeni,*
*i słuchałem drzew starych na wichrze poszumu,*
*i spłoszonych południem dotykałem cieni*
*i myłem niemi oczy — błazen bez rozumu!*

*Ach tak! —*
*— Gdy serce każe — wyjdź na naszą drogę*
*pachnącą gór modrością, wrzosem i koniczem —*
*tam patrząc na zachodnią złotych zórz pożogę —*
*pomyśl, że jestem wszystkiem, ja, co byłem niczem.*

# O MALARSTWIE I POEZJI BEZ LITERATURY

W współczesnej sztuce, a przedewszystkiem w malarstwie przejawiają się najrozmaitsze prądy. Prądy te dążą do jednego celu, a cel ten ukaże się tym szczęśliwcom, którzy doczekają późnej starości lub tym nieznanym, którzy żyć będą sto lat po nas.

Gdy w r. 1917 urządzaliśmy w Krakowie pierwszą wystawę formistyczną, wielu t. z. recenzentów sztuki i krytyków krakało nad lekkomyślnością i „nieprawomyślnością" młodych wtedy malarzy formistów. Dwadzieścia lat przeszło od tego czasu, a dziś jeszcze znajdują się u nas tacy, którzy nie rozumieją, ani nie odczuwają młodej sztuki. Są ci, spośród publiczności i krytyków, wieczni malkontenci, którzy nigdy nie są zadowoleni z nikogo, a już najmniej z nowych poczynań i eksperymentów w sztuce i literaturze. Nasze społeczeństwo i naszą sztukę owładnęła ciężka choroba, zwana przeciętnością. Półśrodki, półsłówka, półnamiejętności, małe zakłamania, małe ostrożności, zapobiegliwa mała sztuczka i spokojna, nikogo nie rażąca estetyka.

Ta ostrożność i to, powiedzmy otwarcie, tchórzostwo szczególniej jest widoczne w nowych konkursach i nagrodach na salonach, nagrodach miast i laureatach oficjalnych. Nagradza się i wyszczególnia prace z pięknem „kombinowanem", z estetyką „rozważną" z uwzględnieniem przytem różnych „za" i „przeciw", natury wcale nieartystycznej. Sztuka plastyczna jest u nas dla jednych „wypięknianiem" się zbałamuconych konwencjonalną estetyką (swojego chowu) lub mieszaniną o ingredencjach patrjotyczno - politycznej konjunkturki. W rzeźbie „pomniko"- i „biustomanja", w malarstwie konikomanja i archaizowanie (przerabianie nowych knotów na stare arcydzieła), zasłoniły zupełnie wartości artystyczne, które trwają i trwać będą zawsze.

Poszukiwanie przez niektórych naszych artystów dobrych wpływów i wzorów, u dobrej współczesnej sztuki, nazywają nasi zbawcy i koryfeusze sztuki od rozmaitych bractw i przytulików, „żłobków" dla nieumiejących i wstydzących się uczyć młodych malarzy, — nazywają „naśladowaniem zgniłego zachodu". Z pośpiechem i bezkrytyczną manją analfabetów — chcą wynaleźć koniecznie jakąś (jak oni to zowią) sztukę narodową i to w ten sposób, w jaki „wynajduje się" pastę do obuwia lub tanią margarynę dla narodowej kuchni. W ich tępych i zakutych głowach nie może się pomieścić to, że żadna na świecie rzecz nie powstała tak z niczego, że już stare księgi „genesis" uczą nas, że z chaosu ręka twórcza musiała stworzyć świat na podobieństwo czyjeś.

Sztuka narodowa! — Kto już o niej nie pisał?!

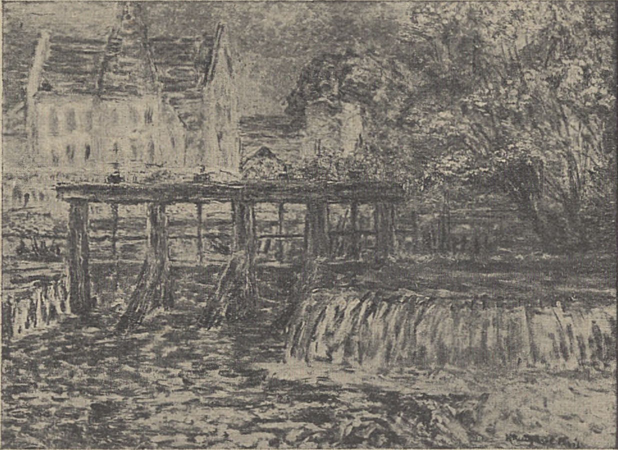
Ci panowie wygłupiający się w różnych „dostępnych im" pismach ani nie zauważyli tego, jaką krzywdę wyrządzili i wyrządzają naszej kulturze, naszemu społeczeństwu i naszej sztuce. Przed kilkoma dniami wyczytałem w pewnem piśmie artykuł pewnego profesora (ach, ci profesorzy — nie dziwię się Cezanne'owi, że tak nie lubiał wszystkich profesorów), — który (ten profesor) dowodzi ni mniej ni więcej, że malarstwo powinno być dosłownem kopjowaniem natury. Zapomniał jednak o tem pan profesor, jakiej to natury malarz trzymać się powinien. Wszak tyle tych „natur" jest w każdem żywem oku każdego człowieka?!

Ci, co chcą spopularyzować malarstwo, rzeźbę czy nową poezję, podobni są do tych fotografów, którzy łysemu chcą „doretuszować" bujną czuprynę, lub zezowatemu naprościć oczy. Wszelka „ortopedja" zastosowana przez tych panów do sztuki, aby podobała się i była „zrozumianą" przez „szerokie tłumy", żadne wrażeń artystycznych, jest czystą komedją, obliczoną na autoreklamę. Są to u nas jakieś resztki dawno już w Sowietach wyszłej z mody sztuki dla tłumów, sztuki „na ulicę", głoszonej przez przestarzałe już dziś poezje i manifesty niegdyś podczas rewolucji rosyjskiej. Okazało się przecież przed kilku laty, podczas wystawy sztuki sowieckiej w Warszawie, że można wierzyć i kultywować jak najskrajniejsze ideały socjalne, a równocześnie w sztuce być najbardziej prawicowym konserwatystą i „pompierem". Przypomina się też owo „księże pismo", krakowski „Głos Narodu", który z takim zapałem popierał i reklamował poetów futurystów i początki „awangardy", w przeciwieństwie do „Naprzodu", który przy każdej sposobności wyszydzał ówczesne „lewicowe" kierunki w malarstwie i poezji. Spowodu mojej obecnej wystawy, którą urządził pełen zawsze inicjatywy lwowski Zaw. Związek Artystów Plastyków, powinienem napisać słów parę o mojem malarstwie. Niestety trudno mi tutaj napisać jakieś „credo", które zadowoliłoby wszystkich, a szczególnie tych, którzy oczekują od „awangardowego" malarza sensacji i wynalazków.

Ze Zbigniewem i Andrzejem Pronaszkami dokonałem około roku 1917 zasadniczego zwrotu w polskiej plastyce. Mógłby ktoś powiedzieć, że była to rewolucja, która spowodu tego, że dokonała dużego wstrząsu, nie wydała zaraz wtedy mięsistych owoców. Owoce te dopiero teraz zaczynają dojrzewać, a uważny i niezawistny obserwator musi skonstatować fakt, że powstała zupełnie nowa epoka, dzięki właśnie formizmowi. Czy bez formizmu byłyby dziś możliwe w Polsce wszelkie I. P. S-y, „Rytmy", neoplastycyzmy i kopizmy? Wówczas w latach 1917—1922 dominowały w polskiej sztuce



Rzeźba
KAROL MUSZKIEL



Pejzaż (gwasz)
H. RUDZKA-CYBISOWA



Pejzaż
J. STUDNICKI

# *Z Salonu Plastyków Związków*

jący w nastroje zmierzające do uniezależnienia tej placówki kulturalnej, zlikwidować. Młodzi postanowili uniwersytet, jedyną kuźnicę w trudzie rodzącej się myśli ludowej za wszelką cenę utrzymać. Na walnym zjeździe Lwowsk. Okr. Związku Młodzieży Wiejskiej przyjęto jednogłośnie wniosek młodego, wybitnego działacza ludowego, Leona Lutyka, aby Uniwersytet Ludowy utrzymać. Koło Młodzieży Wiejskiej w Gaci podprzeworskiej zdecydowało, że U. L. stanie w ich wsi. Koła powiatów: łańcuckiego i przeworskiego zaofiarowały pomoc przy budowie uniwersytetu. Jacek Brożbar, chłop z Gaci, oddał Uniwersytetowi całkiem bezinteresownie 14-morgowe gospodarstwo. Inni gospodarze wzięli na siebie ciężar utrzymywania uczniów przez czas ich pobytu na kursach. Okoliczne wsi zobowiązały się ofiarować coś na budowę nowego gmachu, koła młodzieży — po kilka dni pracy w miesiącu. Jedno budowało fundamenty, inne ściany, trzecie podłogi i t. d.; chłopi dali budulec i wszystkie potrzebne materjały, nowy gmach jest już pod dachem. U. L. w Gaci powstał na wzór uniwersytetów ludowych duńskich. Twórcą ich był Grundvig; dziś liczba ich sięga 30 tu. Uniwersytety duńskie, czechosłowackie — pracują metodą internatową. Przejął ją także Uniwersytet Orkanowy w Gaci: chłopcy, kształcący się na przodowników wiejskich, odbywają kursy 9-miesięczne, dziewczęta 5-miesięczne; przez współżycie i współpracę z kierownikami wytwarzają wspólnie wartości intelektualne. Głównem zadaniem uniwersytetów ludowych jest obudzenie w młodych własnych sił twórczych. Na U. L. niema jakichś specjalnych podręczników, niema nawet specjalnego zakresu wiedzy, który uczniowie musieliby opanować. Do dyspozycji uczestników stoi duża biblioteka, przyczem każdy z nich zobowiązuje się pracować w kierunku swoich zainteresowań; dyskusje toczą się na tematy społeczne, gospodarcze i kulturalne, zawsze ze szczególnem uwzględnieniem wsi i jej potrzeb. Uniw. Orkanowy w Gaci prowadzi obecnie Ignacy Solarz, inżynier agronom i jego żona, Zofja. W charakterze instruktorów - wykładowców przepłynęło przez Uniwersytet wielu działaczy chłopskich (Wojciech Skuza i inni).

* * *

Ruch „Wiciowy" jest dzisiaj najwartościowszym składnikiem ruchu młodowiejskiego, najczystszym, najwyższym ideowo. Szeregi „Wiciowców" liczą ok. 70.000 członków; niedawno przystąpił do „Wici" Wielkopolski Związek Młodzieży. Wpływy sanacyjne, umacniane przez „Strzelca" i „Młodą Wieś" są raczej zewnętrzne, związane z posadami i stypendjami, trudno traktować je inaczej niż jako obcy nalot. Rozpiętość pomiędzy liczebnością a jakością jest tu ogromna.

Penetracja endecka idzie od zakrystyj, ambon i konfesjonałów; katolickie stowarzyszenia młodzieży, skupiające mniej inteligentny element, liczne wskutek nagonek kleru, nie przedstawiają prawie żadnej siły ideowej, skrępowane przez „patronów" nie reprezentują niczego.

Tym, którzy drżą w wiecznej obawie przed dojściem endecji do władzy, radzę czytać młodą prasę ludową, („Młoda Myśl Ludowa", „Wici"), prasę pokolenia, które przeszedłszy fazę budowania siebie od wewnątrz i urastania w siły, być może w niedalekiej przyszłości sięgnie po prawo kształtowania rzeczywistości polskiej, aktywizując masy chłopskie i stając na ich czele.

Program „Wiciowy" mówi:

*„Zjednoczony i solidarny wysiłek świata pracy wsi i miast musi doprowadzić do obalenia kapitalizmu i wzniesienia na jego gruzach nowego, gospodarczego ustroju, opartego na zasadach sprawiedliwości społecznej i powszechnej równości"* (Stanisław Miłkowski, Walka o nową Polskę, Warszawa, 1936).

Dalej: „Liczebność warstwy chłopskiej w Polsce, reprezentowanie przez nią najważniejszej i podstawowej gałęzi produkcji, społeczne, państwowe i narodowe wartości chłopa, wykształtowane we współżyciu z ziemią i przyrodą wskazują dostatecznie na to, iż budowa nowego ustroju musi się oprzeć na zasadach chłopskiej myśli społeczno - gospodarczej, której wyrazem jest agraryzm, traktujący równomiernie interesy i potrzeby całego świata pracy". Zasady agraryzmu skonkretyzował i omówił obszernie Stanisław Miłkowski w dwóch broszurach: „Agraryzm" i „Walka o nową Polskę".

Droga, którą „wiciowcy" obrali i która ma doprowadzić do urzeczywistnienia owego ustroju, zawiera się cała w paru zdaniach znalezionych przeze mnie w 19—20/36 nr. „Wici": „Mojem zdaniem z agraryzmem nie trzeba czekać na wcielenie go siłą — ale już dziś wcielać go można w życie krok po kroku — poczynając od przeobrażenia dusz swoich. Trzeba się nam na wsi najpierw wyzwolić od opiekunów i nauczyć się samodzielnie myśleć, działać i żyć w sposób zorganizowany — społeczny. Trza się wyzwolić z pod wpływów wszelakiego odgórnictwa, kierującego życiem naszem gromadzkiem i prywatnem nawet — według swojej woli, na własny, a nie na chłopski pożytek. Zmiana ustroju może nastąpić po przemienieniu się duszy człowieka. Do nowego życia — trzeba nowego człowieka, wyzwolonego z mroków duchowego średniowiecza. Taka zmiana musi nastąpić w masach — a nietylko w jednostkach, bo jednostki mogą się załamać, nie doprowadzić mas do ziemi obiecanej. „Trzeba się zaprawiać do organizowania" życia wsi — trzeba się zarazem hartować, biorąc odpowiedzialność praktyczną i moralną za jakość organizacyj wiejskich zaspakajających potrzeby wsi — siłami samej wsi. Na tej drodze nasza idea agrarna upowszechni się nietylko w jednostkach, ale w masach chłopskich. I wtedy dopiero samodzielny i decydujący głos przypadnie masom — a nie odgórnym jednostkom, fanatyzującym masy dla haseł obcych i wrogich sprawie chłopskiej".

**Faustyn Tea-Gawiński**

dwie potęgi, dwie można powiedzieć „mafje": krakowska „Sztuka" ze wszystkimi profesorami na czele, która jednak w swym tonie miała kilku artystów bardzo utalentowanych — i warszawska „Zachęta", gniazdo wszelkiej reakcji w polskiej sztuce, matecznik akademicko-petersburskiego niedołęstwa i monachijsko - szwabskiego sosu. Dziś, po tylu latach, po tylu wystawach formistów, kopistów, zwornikowców i tych najmłodszych, widzi się tę głęboką przepaść, jaka dzieli nas od owej plagi „amatorów" zachętowych lub monachijsko-sensacyjno - impresjonistycznych estetów krakowskiej „Sztuki". Wszak do dziś dnia pamiętam, gdy po moim pierwszym pobycie w Paryżu r. 1910, urządziłem zbiorową wystawę w Krakowskiem Tow. Sztuk Pięknych na sławnym Szczepańskim placu, ówczesny prezes tej szanującej się instytucji po dziesięciu dniach „skandalu" (tak nazwał ów p. prezes moje obrazy), kazał je woźnym wyrzucić do piwnicy. Ale szczęście kołem się toczy: W siedem lat później, dzięki naszej formistycznej rewolucji, weszliśmy do owego niezdobytego, zdawałoby się, pałacu na „Szczepańskim placu" jako zdobywcy i tryumfatorowie.

Zarzucano mnie i moim kolegom spod znaku formizmu, że jesteśmy „ślepymi naśladowcami" (tak!) paryskiego kubizmu i niemieckiego ekspresjonizmu. Już to bo nasi panowie krytycy, wygłupiający się, jak to mówi gdzieś stare przysłowie: ab hoc et ab hac, po różnych dostępnych szerokim masom pismach, nie mają szczęścia do różnych szufladek. Zawsze coś słyszeli gdzieś, że dzwonią, ale nie wiedzieli, w którym kościele. W owych czasach rewolucji formistycznej, a także i teraz, takie używane przez nich ciągle słowa i terminy, jak: impresjonizm, neoimpresjonizm i fowizm, formizm, kubizm, nadrealizm, neoplastycyzm etc., etc., dla tych panów, piszących o sztuce w pismach, były niewyczerpanym skarbem, którym szastali na prawo i lewo, a także lasem dżungli, w których błąkali się, jak świętojańskie robaczki w podzwrotnikowej nocy.

Imponowali przecież taką masą „technicznych" słów naczelnym redaktorom i ignoranckiej publiczności, a że były to tylko puste frazesy, powstał z tego między publicznością, (która chciał się czegoś dowiedzieć), przewidziany a potworny galimatjas.

Jeszcze w r. 1903, jako uczeń Krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych, narysowałem i namalowałem głowę Chrystusa w prostych linjach, trójkątach i kwadratach. Nikt nie przeczuwał wówczas w Krakowie, że był to pierwszy obraz kubistyczny na pięć lat przed kubizmem Picassa. Kontynuowałem ów „sposób" w szkolnej pracowni pewnego profesora. Tak moi koledzy z „kursu", jak i sam profesor pokładali się ze śmiechu. Nie przeszkadzało to jednak kilku właśnie z tych moich kolegów w dziesięć lat potem po przyjeździe do Paryża, rzucić się w objęcia pikassowskiego kubizmu, który nazwali naturalnie rewelacją w sztuce.

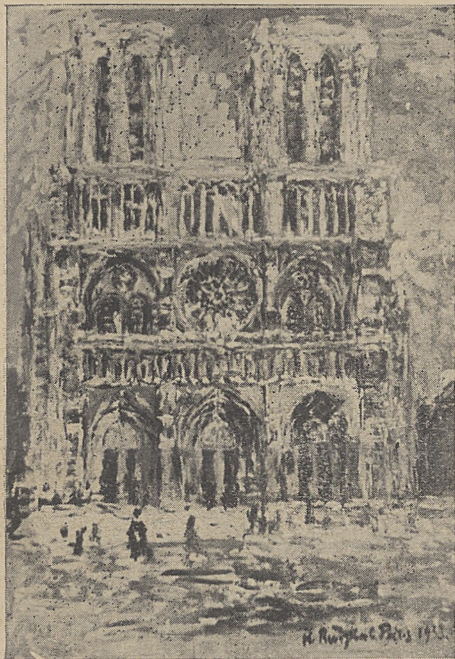
To samo było z moją poezją „futurystyczną", tak wyśmiewaną w owym czasie. Pierwsze wieczory poezji futurystycznej były silnem wyładowaniem się elektrycznem po mdłej pogodzie „Młodej Polski". Nie pomogły protesty i krzyki dzisiejszych „Skamandrytów", najwierniejszych epigonów tej właśnie „Młodej Polski". „Skamandryci" to wprowadzili do naszej literatury ten fałszywy estetyzm umiarkowania i filiterstwa, jednem okiem zezując na poezje Staffa, a drugiem zerkając i zapożyczając się od futurystów. Lecz nie pomógł im ten zastrzyk Woronowa. Pozostało z tego kilka tomów mdłej poezji i kilka rewji w „Qui pro quo", „selon la valeur" Jarossy'ego i Dymszy.

Futuryści (taką nazwę dano nam tak, jak n. p. jajakimś religijnym odszczepieńcom), wywarli na ostatnią epokę naszej literatury wpływ podziemny. Łono poezji się poruszyło. Moje „Zielone oko" i „Robespierre", — Jasieńskiego „Szela", Młodożeńca „Kreski i futureski" wbiły się klinem nie tylko w głowę p. Irzykowskiego, ale „Skamandrytów" (trzeba im było przecież czemś się „zapłodnić") — a nadto tym najmłodszym ze „Zwrotnicy". Po różnych pożyczkach i kombinacjach — powstała u nich słynna „metafora", która za naszych „futurystycznych" czasów była „awangardą" awangardy. Wreszcie przeczuwam zmierzch metafory. Chciałem tego dowieść, wydając w tym roku mego „Lajkonika w chmurach". Niektóre szanujące się pisma literackie pominęły go milczeniem.

Ale wracam do malarstwa. Jeżeli to kogoś obchodzi, muszę oświadczyć, że podczas ośmioletniego pobytu w Paryżu (1922—1930) przebyłem drogę, pełną „cierni", zniechęceń i przewartościowania wartości. Kilkumiesięczny pobyt w Hiszpanji, widok Prado — Goya, Velarqueza, El Greco — nauczył mnie wiele. Poznałem wtedy, że jest różnica między malarstwem a malarstwem.

Wszelkie „triki" formy opadły, jak męty na spód szklanki — na wierzch wyszła oliwa koloru, koloru za wszelką cenę. — Obecnie pojąłem, że tylko kolor buduje świat widzialny. Tego samego zdania byli zapewne malarze greccy, którzy malowali freski w pompejańskiej „Villa Vei Misteri" — a które widziałem podczas mojej podróży do Italji w r. 1927. Zrozumiałem wtedy Renoira i Cezanne'a, El. Greco i malarzy szkoły weneckiej. Poza wszelkiemi teorjami, moim jedynym celem jest być malarzem. Teorje są dobre, ale trzeba być fatalistą — inaczej reszta „będzie zawsze literaturą". A ja nie lubię literatury ani w malarstwie ani w poezji.

**Tytus Czyżewski**



Notre Dame (gwasz)
H. RUDZKA-CYBISOWA



Portret P. B.
JAN CYBIS (1932)



Pejzaż
JAN CYBIS (1934)

# *Zawod. Pol. Artystów Plastyków*

MARJA WRZEŚNIEWSKA

# HISTORJA NIEDOKOŃCZONA*)

Czasami wybucha w szkole bomba i człowiek nie wie sam, że ją podłożył. Nie wie nawet, skąd się wzięła — ta bomba. A ona sobie potrafi leżeć spokojnie przez trzy miesiące i wybuchnąć w najzupełniej nieodpowiednim momencie. Już... już... przyciągnęłyśmy do Koła Ludkę z siódmej klasy. Agitacja szła pełną parą — gdy nagle...

Maryśka miała rację. Nie wciągać do roboty dziewcząt niepewnych. Język trzymać porządnie za zębami. Myśleć — nie gadać. Lepiej małe a pewne Koło, niż szeroka grupa idjotek, którym się tylko podobają terminy rewolucyjne i papachy kozaków znad Wołgi. Maryśka miała rację. Doświadczenie swe zdobyła w wędrówce po wszelkich gimnazjach na prowincji. W naszem mieście uczęszczała już do trzech szkół i z każdej wylatywała w przeciągu dwóch miesięcy. Właściwie tyle jej było potrzeba na organizację Koła. Potem Koła już same szły bardzo dobrze.

Maryśka przyszła do nas po pierwszem półroczu. Weszła do klasy tak, jakby nie była nową uczenicą. Jakby była starą moruską z paki. Siedziałyśmy w ławkach podczas pauzy. Kłóciłyśmy się. W tym czasie powstał nowy zatarg z kancelarją na tle Sądu Koleżeńskiego, który powstał w naszej klasie, a którego nie chciała przełożona zatwierdzić. Część klasy radziła rozwiązać Sąd. Myszka, ja i Leuschen broniłyśmy zacie- kle wspólnego interesu.

Wtedy weszła do sali przełożona z jakąś młodziutką panią i dziewczyną i powiedziała:

— Dzień dobry. To jest wasza nowa wychowawczyni, która równocześnie obejmuje po pani Wareckiej lekcje języka polskiego. Przypuszczam, że będziecie zachowywać się tak, jak przystoi uczenicom naszej szkoły.

Popatrzyłyśmy nieufnie na nową wychowawczynię. Wiedziałyśmy, że nas to czeka. Pani Warecka została przeniesiona do innego gimnazjum od półrocza. Opłakałyśmy ją już. Była dobra i poczciwa. Jaka jest ta nowa? „Nowa" uśmiechnęła się do nas serdecznie. Odpowiedziałyśmy wrogim szumem. Tak zawsze przyjmuje się nowych.

— A to jest wasza nowa koleżanka, Marja Darjówna. Będzie siedzieć osobno. Wstąpiła do naszego gimnazjum tylko na próbę.

Popatrzyłyśmy na Marję Darjównę. Stała śmiało i zuchwale się nam przyglądała.

W ten sposób jednego dnia dostałyśmy nową wychowawczynię i nową koleżankę. Dzisiaj niema ani jednej ani drugiej. Były ulepione z tej samej gliny. Marja Darjówna odrazu siadła na swojem krześle i zaczęła:

— Mówcie do mnie: Maryśka. Jak się nazywacie?

Otoczyłyśmy Maryśkę. Nazywamy się tak a tak. W której budzie była przedtem? W tej a w tej. A przedtem była w tamtej. A jeszcze przedtem w tamtej.

— Wędrujesz? Dobry z ciebie ptaszek — roześmiałyśmy się.

— Bardzo dobry ptaszek, — przyznała Maryśka.

— Może kradniesz? — zapytała Winia.

— Nie. Kraść nie kradnę. A u was kradną?

— Jak się zdarzy.

— Z nędzy, czy tak sobie?

— Tak sobie.

— To gorzej.

Maryśka ciekawie rozglądała się po klasie.

— Macie samorząd?

— Niby jest.

— Co to znaczy niby?

— Jest, ale niesamodzielny.

— Przedstawicielstwo sztubackie macie?

— Nie. Zwarjowałaś?

— A sąd koleżeński?

Opowiedziałyśmy Maryśce historję z Sądem.

— Powinnyście postawić się na głowie. Sąd musi być.

To nam się spodobało. Maryśka jest „swoja baba".

— Spółdzielnię macie?

— Nie.

— A co wy macie?

— Coś tam jest, ale nie orjentujemy się w tem. To robi kancelarja. Ale dlaczego o to pytasz? Co?

— To mnie interesuje. Gdy przyjdę do takiej szkoły, w której samorząd jest samodzielny, w której Sąd jest niezależny, w której jest spółdzielnia i organizacja życia szkolnego jest w rękach uczenic — to wiem, z kim mam do czynienia. A wy nic nie macie. Granda, moje drogie, i nic więcej.

Tak się zaczęło z Marją Darjówną, wysoką, surową dziewczyną, najlepszą koleżanką i najlepszą przyszłą towarzyszką.

Następna lekcja — polskie. Nowa wychowawczyni powiedziała:

— Dzisiaj nie będę prowadziła lekcji. Dzisiaj zrobimy sobie pogadankę. Chcę się z wami zapoznać. Niech któraś zrobi zwierciadło klasy.

Nowa wychowawczyni była piekielnie młoda, dopiero co upieczona nauczycielka. Miała ogromne czarne oczy i dwie zmarszczki na czole. Pionowe. Mówiła powoli i długo zastanawiała się nad każdem słowem. Słowa

*) Z tomu p. t.: „I wogóle" (Opowiadania sztubackie).

wychodziły z jej ust mocne i ładne. Nowa wychowawczyni mówiła:

— Chcę z wami żyć jak najlepiej. Będę szczera: chcę z wami iść ręka w rękę, chcę z wami podzielać wasze troski i z wami się cieszyć. Pani Warecka informowała mnie, że jesteście bardzo trudną klasą. I ponoś nieznośną. Nie chodzi o to. Pani Warecka przywiązała się do was nadzwyczaj i prorokowała mi, że ja też przywiążę się do was. Wiem, że tak będzie. Słuchajcie miłe. Mamy razem pracować. Naprawdę pracować. Nie wkuwać. Uczyć się pracy. Wszystko, co powiedziałabym wam o wartości pracy, byłoby frazesem. Przypuszczam, że już dosyć wam się o tem mówi w szkole. Że praca jest święta i tem podobnie. Są to frazesy. Ale takie frazesy trzeba stale powtarzać i powtarzanie ich nie powinno nikogo znudzić. To jest moje zdanie. Może wasze jest inne. Pamiętajcie o jednem: pracą przygotowuje się lepsze jutro nie tylko dla siebie, ale dla wszystkich. Dla kraju. Dla świata. Djabli wiedzą, kim będziecie w przyszłości. Urzędniczkami, robotnicami, żonami, matkami. Wszystko jedno. To równa praca. Chodzi tylko o to, jak się ją robi. Trzeba robić dobrze. O tem chcę się razem z wami uczyć. Jak pracować dobrze i wydatnie nietylko dla siebie. To jest, mojem zdaniem, najważniejsze. Dzisiaj nie możemy myśleć o sobie. Musimy myśleć o innych. O tych, którzy o sobie myśleć nie umieją, albo boją się. To jest naszem zadaniem. I ja chcę was do tego zadania przygotować. Uczmy się, moje drogie, pracy i myślenia, aby stworzyć lepsze jutro i lepszy świat.

Wychowawczyni mówiła bardzo długo. Odpowiedziałam jej w imieniu całej klasy.

— Proszę pani. Wszystko w porządku. Owszem, chcemy pracować. Tylko chodzi o jedną sprawę. Do nas często tak się mówi. Potem... no, jakby to pani powiedzieć... poprostu... potem nie my, ale ci, którzy tak do nas mówili, nie spełniają...

— Oszukują was, chcesz powiedzieć — przerwała mi wychowawczyni.

— No, tak. Bo my, proszę pani, jesteśmy ciekawe różnych spraw.

— Dobrze — ucięła wychowawczyni i oparła czoło na dłoni.

Gadało się jeszcze bardzo długo. Całą godzinę. O samorządzie i sądzie, o pomocy dla bezrobotnych i wielu innych sprawach.

Maryśka dobrze powiedziała prawie przed samym wybuchem bomby, przed aresztowaniem wychowawczyni:

— Ona doskonale przygotowuje grunt. Możemy tylko korzystać z tego, co ona już robi.

Tego, co mówiła Maryśka, bała się okrutnie przełożona. Już po tygodniu pobytu Maryśki w szkole, przełożona wezwała do siebie około dziesięć dziewcząt z naszej klasy i zapytała groźnie, o czem rozmawiamy z Maryśką na pauzach.

W tym okresie Maryśka dopiero weszła do naszej paki i nic się jeszcze nie robiło. Zrozumiałyśmy tylko, że nie można opowiadać przełożonej, ani nikomu tego, co Maryśka może nam w przyszłości powiedzieć.

— Z Darjówną? Nie. Nic. Tak sobie; mówimy o lekcjach i o szkole.

— Czy wam Darjówna opowiada o swoich pobytach w innych szkołach?

— Darjówna? Nie. Wiemy tylko, że przedtem była w jakiejś szkole. Więcej nic.

— Czy Darjówna przychodzi do was do domów?

Owszem, przychodziła do Myszki, z którą już się zaprzyjaźniła (ta sama glina).

— Darjówna? Nie. Skądże?

Powtórzyłyśmy Maryśce potem tę rozmowę. Akurat stałyśmy w trójkę. Myszka, Maryśka i ja.

— Pilnują mnie — roześmiała się Maryśka.

W dwa tygodnie potem znowu zawezwała nas przełożona.

Wtedy już organizowało się Koło. Z naszej klasy była w niem tylko Myszka, Leuschen i ja. W innych klasach dopiero badało się teren.

Chodziłyśmy co tydzień do przełożonej.

— O czem rozmawiacie z Darjówną?

— Z Darjówną? — dziwiłyśmy się.

W miesiąc po przyjściu Darjówny nasze Koło było zorganizowane i wściekły nos Maryśki wywąchał coś niespodziewanego. Przybiegła do nas:

— Czy wy wiecie, że piąta klasa ma Koło?

— Jak?

— Właśnie tak.

— Skąd wiesz?

— W zespole kazano mi objąć kierownictwo tego Koła.

— Należą do zespołu?

— Tak.

— Ile ich jest?

— Cztery.

Pracę robiło się na gorąco ale z wszelkiemi ostrożnościami. Myszka zwąchała się szybko z Maryśką, ponieważ, jak się potem okazało, Myszka należała do Koła innego gimnazjum, które w swej wędrówce zawiązała Maryśka. Myszka wciągnęła mnie i Leuschen. Piąta klasa zorganizowała się sama, potem złączyła z nami. Koło było doskonale zakonspirowane. Nikt o niem nie miał prawa wiedzieć. Nikt a nikt. I nikt nie wiedział. Zebrania odbywały się rzadko. Schodziłyśmy się tylko po trzy. Zebrania informacyjne miały miejsce w mieszkaniu Myszki. Dowiadywałyśmy się:

Na terenie tego a tego gimnazjum istnieje takie a takie Koło — osób 15.

Na terenie tego a tego gimnazjum istnieje Koło — osób 9.

Na terenie tego a tego gimnazjum istnieje...

Na terenie seminarjum...

Na terenie szkoły handlowej...

Na terenie szkoły przemysłowej...

Teren żydowskiego gimnazjum pokryty jest siecią Kół. Co trzeci uczeń i uczenica należą do Koła.

Na terenie szkoły zawodowej wychodzi pismo tajne...

Dlaczego tak to wszystko? Bo już był najwyższy czas. Byłyśmy przygotowane. Chodzimy po świecie z otwartemi oczyma. Głowy mamy na karku. To tylko starym pedagogom może się wydawać, że jest inaczej. Może robimy to śmiesznie i nagle i zbyt głupio — ale musimy się wkończu „douczyć", jeśli wogóle nie „uczyć". Szkoła przecież zupełnie się nie liczy. Szkoła nie chce dać z siebie niczego. To się wie. Rej .. Orzechowski... proszę bardzo!

* * *

Ten mężczyzna ma mieć na sobie zielony szalik. Punkt: ulica Zadwórzańska. Godzina: 5.30. Hasło znane.

Idziemy w trójkę. Maryśka, Myszka i ja.

Maryśka mówi:

— Nie wolno wam pamiętać twarzy tego człowieka.

— A ty go znasz? — pytam.

— Nie. Taksamo jak i wy nie znam go. U nas nikogo się nie zna. To są ludzie ścigani. Rozumiecie? Dziesięć lat, dwanaście lat. Kryminał.

Włóczymy się po Zadwórzańskiej.

— Chcę wejść do Błękitnych. Jak myślicie? — powiada Myszka.

— Bractwo miłosierdzia. Panie z á Paulo. Słuchajcie: to musi być twarda walka. To niema znaczyć: ludzie są biedni. To ma znaczyć: ludzie są skrzywdzeni. Ludziom biednym wystarczy pomoc w postaci kopy jaj i dziesięciu kila mąki, ale ludziom skrzywdzonym to nie wystarcza. Niema teraz ludzi biednych — są tylko skrzywdzeni. Dla nich jest tylko walka, nic więcej — mówi Maryśka.

— A jeśli w dzisiejszym ustroju nie można...

— Jeśli niema rewolucji, to ją sobie zróbmy — zanuciła Maryśka. — Głupstwa. Albo wierzy się w jakąś siłę, albo się w nią nie wierzy.

— Ile ty masz właściwie lat? — pytam znienacka Maryśkę.

— Dwadzieścia — odpowiada — dwadzieścia lat. Nigdy nie skończę gimnazjum i nigdy nie będę na państwowej posadzie. Ale gdy przyjdzie ustrój socjalistyczny, znajdzie się dla mnie praca. Więcej pracy niż sił.

Łazimy po tej Zadwórzańskiej i łazimy. Jest...

— Przepraszam pana. Która godzina?

Mężczyzna w zielonym szaliku patrzy na nas badawczo i odpowiada:

— Zegarek strajkuje.

— Zegarmistrz Baum jest dobrym zegarmistrzem — kończymy hasło.

Teraz już idziemy z tym człowiekiem pośpiesznie i słuchamy tego, co nam mówi. Jest normalny wykład z datami i nazwiskami. W przeciągu godziny obiegamy wszystkie ciemniejsze uliczki miasta.

Zapadamy się w śniegu po kostki.

— Proletarjat w ustroju kapitalistycznym — czarne słowo. Znaczy: nizina społeczna. Znaczy brud, nędza, ciemne suteryny, niedozwolone pragnienia.

W tej dzielnicy znowu jest paskudne błoto.

— Proletarjat w ustroju socjalistycznym...

Latarnie mają zielonkawy kolor. Światło latarń, skąpe i wrogie, zakrywa okropną nędzę przedmieść.

— Społeczeństwo bezklasowe...

...i koniec. Wracamy, milcząc.

* * *

Miesiąc potem. Maryśka mówi:

— Tamten facet został schwytany. Dwanaście lat kryminału murowane.

Przypominamy sobie, jak wyglądał i co mówił.... Pamiętamy.

* * *

Leuschen, jedna z piątej i ja. Włóczymy się po Czereśniowej.

— Czas już wejść do owocarni — stwierdzam, patrząc na zegarek.

Wchodzimy. W owocarni stoi jakaś młoda kobieta i przerzuca jabłka. Patrzymy na to uważnie. Odrzuca co trzecie jabłko. Podnosi i odrzuca. To hasło. Ta z piątej podchodzi do lady:

— Czy możemy dostać krówki Janickiego?

Sprzedawczyni wogóle nie wie, że są takie cukierki. Ale młoda kobieta uśmiecha się i powiada:

— Są to mleczne cukierki. Niezwykle dobre.

— Cukierki Janickiego są mniej dobre niż jabłka. Proszę dać nam pół kila jabłek — wybieramy, odrzucając co drugie.

Wychodzimy prawie równocześnie z tą kobietą.

— Nacjonalizm niemiecki...

Znowu biegniemy pośpiesznie przez ciemne ulice.

— Faszyzm...

Jest godzina szósta popołudniu. O tej porze ulice przedmieścia są jeszcze nieoświetlone.

— Nacjonalizm polski...

Leuschen pakuje do teczki pisma Engelsa, które dała jej ta kobieta. Ja mocno ściskam pod płaszczem broszurki.

— Sjonizm ..

...i koniec.

* * *

Zebranie w jakiejś dusznej, ledwo oświetlonej sali. Obce twarze, nieznane. Wiadomo tylko, że sztubackie. To się widzi po oczach.

Wykład o wojnie światowej. O podjudzaniu do wojny. O wszystkiem, czego szkoła nie mówi. Nie chce, albo nie może..

* * *

Pismo dla dzieci. Tajne.

* * *

W szkole zacięta walka o samodzielny samorząd i sąd koleżeński. Kancelarja chwieje się w posadach. Koło zwiększa się o jedną osobę. Dziwaczna i cyniczna dziewczyna z siódmej klasy. Powoli wciąga się do Koła Ludkę. Też z siódmej.

* * *

Któregoś dnia Maryśka zwołała nas na posiedzenie do Myszki. Miała poważną minę:

— Słuchajcie. W szkole rozwija się druga tajna organizacja. „Lilja". Jest od naszej silniejsza i... nam przeciwna. Nic o nas nie wiedzą. Z naszej klasy należą do niej Romka i jej paka. Z wyjątkiem Felówny. A ta pewnie ze strachu. Pozatem większa część drużyny harcerskiej. Jest to organizacja endecka. Tworzą pewne przeszkolenie. Po gimnazjum wejdą do Obwiepolu. Więcej nie wiem.

— To i tak dużo. Skąd wiesz o tem?

— Wyciągnęłam to od Romki.

— Nie bała ci się to powiedzieć?

— Nie. Przeciwnie. Zdaje mi się, że poleciły jej wciągnąć mnie. Ha, ha, ha. Śmiech do twarzy. Udawałam, że mnie to wszystko bardzo obchodzi (zresztą obchodziło mnie — tylko w inny sposób) no i dowiedziałam się, czego tylko mogłam się dowiedzieć. Resztę sobie domyśliłam i przez obserwację pewnych dziewcząt sprawdzałam, czy moje domysły są słuszne.

Maryśka mówiąc, dziwnie trzepoce rzęsami. Ma długie, okropnie długie rzęsy i gdy tak niemi trzepoce — bardzo to ładnie wygląda. Właściwie widzi się te rzęsy dopiero wtedy, — gdy Maryśka dyskutuje, gdy tłumaczy. U Maryśki rzęsy są tem, czem u innych ludzi, bardzo żywych i niespokojnych — ręce. Gdy Maryśka siedzi i słucha wykładu belfrów, rzęsy jej są sztywne, spokojne, nieruchome. Na naszych zebraniach rzęsy te żyją. Wydłużają się, drżą, podnoszą się raz w górę — pytając — i opadają w dół ciężko, gdy Maryśka jest niezadowolona. To są rzęsy. Oprócz nich jest Maryśka. Wytrwała i spokojna. Surowa dla siebie i dla nas. Maryśka.

A wychowawczyni ma oczy. Duże, czarne. Cała klasa, oprócz paki Romki, zgadza się z tem, że wychowawczyni jest porządną kobietą i że porządnie nas uczy. Uczy nas przedewszystkiem patrzeć. Patrzeć w pewien specjalny sposób na pewne zjawiska, istniejące w świecie otaczającym nas To bardzo dobrze. Gdy widzimy, że słowa wychowawczyni podobają się którejś z dziewcząt, że przejmuje się niemi, że powtarza je — wtedy my przystępujemy do pracy. Maryśka i Myszka. Wykłady wychowawczyni pomagają nam w zyskiwaniu nowych sympatyczek i zwolenniczek. Wiadomo: wychowawczyni nie podoba się Romce.

— Więc co robić? — pytamy Maryśki.

— Należy je zwalczać.

— Jak?

— Poprostu najlepiej spotkać się z ich zwolenniczkami i wytłumaczyć im wiele rzeczy — proponuję.

— Toby było najgłupsze. Przecież wiecie: wszyscy ludzie mówią prawie to samo. I wszystkie organizacje tajne i jawne śpiewają na jedną nutę: „Jest źle. Jest bardzo źle. Chcemy to zmienić. Pomóżcie nam". Słowa są te same. Chodzi tylko o to, że treść i metoda są inne. Trzeba je zwalczać tylko w ten sposób: uzyskać dzięki koleżeńskiemu postępowaniu i lojalnej sztamie z wszystkiemi dziewczętami w szkole — wpływ na życie szkolne.

i zdobyć zaufanie dziewcząt. To grunt. Inaczej one chwycą cały wpływ, nie zapomocą cichej i spokojnej pracy, lecz hałasu i demagogji. To jest najłatwiejsze co one robią. Wrzeszczą. Nienawidzą. Nienawiść jest uczuciem łatwiejszem od miłości. Wie się.

Postanowiłyśmy za wszelką cenę odebrać „Lilji" wpływ na życie szkoły. Zastanawiałam się nad jednem. Dlaczego to wszystko — te tajne organizacje — wyłoniły się na terenie szkoły, tak nagle i gwałtownie. Chyba tylko dlatego, że dziewczęta, głodne wiedzy życia, spragnione czegoś, coby im mocno przemówiło do przekonania, coby je ruszyło i dało folgę dla marnującej się w szkole energji, pragnące zdobyć własny sąd o pewnych sprawach, pragnące poprostu wyrobienia sobie światopoglądu — machnęły ręką w kierunku szkoły, zjejczałej i nudnej, i rzuciły się łapczywie na zdobywanie nieszkolnej wiedzy po różnych stowarzyszeniach, odpowiadających mniejwięcej temu, co sobie same myślały. Wiadomo. Romka i jej paka, wściekle antysemitki, poszły na prawo. My — na lewo.

° ° °

Praca trwała trzy miesiące. Nawet trochę dłużej. Maryśka przyszła do szkoły po półroczu. W lutym. Bomba wybuchła w połowie maja. Bomba z „Lilją" wybuchła pod koniec kwietnia. Te z „Lilji" palnęły solidne głupstwo 19-tego marca szkolna drużyna harcerska wysłała do Hallera depeszę gratulacyjną. Idjotki niewiadomo poco podały, że są „wiernemi" i że pracują „porządnie" na terenie szkoły. Podpisały też i „Lilję". Chciały się pochwalić. Nic innego. Jakim cudem szkoła dowiedziała się o tem — niewiadomo. Zaczęły się śledztwa. Była paskudna wsypa. Z naszej klasy wyleciała odrazu Wanda, przyjaciółka Romki. Samej Romce nic się nie stało.

Nasza wsypa była mądrzejsza. Wciągałyśmy Ludkę — tę z siódmej. Maryśka sprzeciwiała się temu. Mówiła, że Ludka jest „fiokowata", t. zn. taka sobie panna z fantazją, która chce coś robić, ale sama nie wie co. Uparła się jednak jedna z piątej, że Ludka (zresztą jej kuzynka) jest doskonałym materjałem i że my chcemy zgubić jeszcze jedną duszę. (Przedtem też nie chciałyśmy przyjąć jednej takiej z piątej klasy). Wkońcu Maryśka zgodziła się i zaczęła „urabiać" Ludkę. W środę miała z nią dłuższą rozmowę i pech chciał, że w środę Ludka poszła się bawić do Kasyna oficerskiego, upiła się i wygadała wszystko jakiemuś porucznikowi, który koło niej skakał. Widocznie też, jak i te z „Lilji", chciała się pochwalić. Może robiła się tajemnicza? Djabli wiedzą.

Śledztwo było ostre. Przełożona pieniła się. Wychowawczyni czerwieniła się i bladła. Ludka wyleciała ze szkoły odrazu. Pociągnęła za sobą swoją kuzynkę z piątej i wydała Maryśkę. Więcej o nikim nie wiedziała. Chwała na wysokościach! Maryśka trzymała się bardzo ostro. Ta z piątej też. Twierdziły, że tylko one i żadna ponadto nie pracowała w tej organizacji. Gdy przełożona zakomunikowała Maryśce, że jest usunięta z gimnazjum, ba, że za parę dni przyjdzie okólnik ministerstwa, usuwający ją ze wszystkich szkół średnich — Maryśka powiedziała:

— Byłam na to przygotowana jeszcze przed wstąpieniem do tego gimnazjum. Byłam już dawno przygotowana. Szkoda jednak, że awantura wybuchła przed końcem roku. Dobrzeby to było mieć sześć klas gimnazjalnych skończonych.

Gdy Maryśka żegnała się z nami, powiedziała dziwnie:

— Wiecie... jestem głęboko przekonana o tem, że kiedyś zwarjuję. Może za wiele lat. Ale zwarjuję. Gdy zwarjuję, wybuduję sobie czarny sześcian. Rozumiecie? Czarny sześcian. Będę w nim siedzieć pod parasolem i w kaloszach na tle pomnika Marksa. Nade mną będą jeździły błyskawiczne pociągi i z nich wypadać będą źli ludzie. Ci ludzie, będą upadać mi pod nogi i ginąć... przede mną i przed pomnikiem Marksa.

W ten sposób pożegnała się z nami Maryśka. Więcej już nie widziałyśmy tej surowej dziewczyny o wspaniałych, długich rzęsach, które zawsze łopotały gwałtownie, gdy Maryśka była oburzona, lub gdy ją coś gniewało lub bolało.

Historja nie skończona. Wybuchła druga bomba. Po odejściu Maryśki pracowałyśmy w kołach dalej, ale mniej wytrwale. Brak było organizatorki. Myszka chowała, te z piątej odłączyły się i jak mi się zdaje, stworzyły jakieś zupełnie osobne koło (możliwe, że pracują z Błękitnymi). Leuschen zaczęła stronić. Nie wiedziałyśmy, do kogo się zwrócić, ponieważ wszystko przedtem prowadziła Maryśka. W kole zapanował zupełny chaos.

Pewnego dnia pod koniec maja podeszła do mnie wychowawczyni i niby na pół żartem a na pół serjo, powiedziała:

— Dowiedziałam się, że często spacerujesz sobie z chłopcami po Czereśniowej. Czy nie wiesz, że przełożona tego nie lubi? Więc ostrzegam cię. Jeśli już koniecznie chcesz się zobaczyć ze swoimi amantami dzisiaj o godzinie piątej na Czereśniowej, to zachowaj przynajmniej jakieś środki ostrożności. Zwłaszcza, że twój ukochany ma wzorzysty sweter, bardzo żółty. Poza tem jest niegrzeczny. Kiedyś tu przypadkowo spotkałam go i pytam: Która godzina? A on odpowiada: zegarek strajkuje. Czy w ten sposób postępują dobrze wychowani ludzie? O! twój ukochany, Dziunko, jest bardzo niegrzeczny. Uważaj... nie spaceruj z nim dużo. Zwłaszcza tam, gdzie może cię ktoś zobaczyć.

W pierwszej chwili zbaraniałam i włosy mi na głowie stanęły — popołudniu poszłam. Włóczyłam się i włóczyłam. Patrzę: jakiś człowiek w żółtym sweterze.

— Przepraszam pana. Która godzina?

— Zegarek strajkuje.

Podczas pogawędki dał mi ten człowiek rozkaz natychmiastowego rozwiązania Koła. We wszystkich szkołach na terenie Lwowa robi się nagonki. Teraz należy prowadzić pracę nad sobą. Kształcić charakter, dużo czytać. Książki będą dostarczane regularnie przez „pewniaka" z męskiego gimnazjum. Zapytałam, co jest z Maryśką.

— Z Maryśką? O kogo towarzyszka pyta? Żadnej Maryśki nie znam.

Na tej „randce" przeziębiłam się i musiałam trochę leżeć w domu. Jakoś trzy dni minęło od tej randki — Tadzik wpada do domu jak warjat...

— Czy twoja wychowawczyni nazywała się Łączyńska? Józefa?

— Tak. Co się stało... — poderwałam się z łóżka przerażona.

Tadzik podsunął mi pod nos gazetę. „Dzisiaj rano została zaaresztowana 26-letnia nauczycielka gimnazjalna Józefa Łączyńska oskarżona o działalność antypaństwową. Łączyńska na spółkę z byłą uczenicą gimnazjalną, Marją Darjówną, miały zamiar prowadzić na terenie gimnazjów pracę wywrotową, w czem przeszkodziło im jak zwykle baczne oko naszego nauczycielstwa, przywiązanego do polskiej kultury i polskiego życia państwowego mocno i gorąco. Sama młodzież szkolna wydała w ręce nauczycielstwa Marję Darjówną, oburzona jej postępowaniem, a dzięki rewizji przeprowadzonej w domu Józefy Łączyńskiej, w czasie której znaleziono szereg książek..."

Odrzuciłam od siebie gazetę. Czy ludzie powarjowali?

**Marja Wrześniewska**

# NIEMIECKA POEZJA LEWICOWA

Przed hitlerowskim przewrotem cała prawie literatura niemiecka, która miała znaczenie i odgrywała rolę — była lewicowa. Ale „lewicowość" ta była pojęciem bardzo płynnem, co szczególnie dziś w retrospektywnem spojrzeniu — gdy już ów pozorny lewicowy blok pękł — wyraźnie się uwydatnia. Przewrót hitlerowski to gruba kreska nad twórczością ubiegłych lat; pozwala to nam patrzeć na tę twórczość, jak na zwartą, skończoną całość. W tej sytuacji występuje z całą jaskrawością płynny i bezkonturowy charakter lewicowych grup, zespołów i czasopism owych lat. Czy zaliczymy n. p. do poetów lewicowych Maxa Hermanna - Neisse, współpracownika wszystkich lewicowych pism, członka redakcji miesięcznika literackiego, komunizującej „Die Neue Buecherschau", lewicowca z przekonania (dzisiejszego emigranta), który pisał i pisze dobre wiersze indywidualistyczne, samotnicze, nie poruszając nigdy tematów rewolucyjnych? Czy zaliczymy do nich Gottfrieda Benna (umysł to głęboki i niezależny, charakter bezwzględnie uczciwy, zdawało się, szczery demokrata), dawniej ozdobę postępowych i lewicowych pism, który już w pierwszych dniach po przewrocie zgłosił przystąpienie do partji narodowo - socjalistycznej, dopatrując się w tym ruchu realizacji swego fantastycznego „irracjonalnego światopoglądu", swej wiary w odrodzenie świata pod wpływem irracjonalnych potęg? (Ta sama wiara w „alogiczne bomby", które roztrzaskają stary świat, pozwoliła innemu poecie Becherowi być komunistą, o czem niżej).

ERICH KÄSTNER

## *Rocznik 1899*

*Do łóżek kobiety spać z nami szły,*
*Gdy mężowie we Francji leżeli.*
*To jednak coś więcej — myśleliśmy.*
*Mieliśmy lat tak niewiele.*

*Tylko na mięso armatnie na front*
*Kazano nam dać nasze ciała.*
*W szkole pozostał ławek pustych rząd,*
*A w domu matka płakała.*

*Potem z kartofli rewolucji nóż*
*Tylko łupy skroił szerokie.*
*I znów przyszły kobiety, jak przedtem już,*
*A potem i gonokoki.*

*A ojciec już worek wyczyścił do dna,*
*W nocy się było studentem.*
*W biurze się było zajętym za dnia,*
*Żmudnie zliczając procenty.*

*Wtem ona, że dziecko, podniosła krzyk,*
*Twoje, czy moje — któż to wie!*
*Ale przyjaciel usunął je wmig.*
*Gdy wtem już — trzydziestka, panowie.*

*Jeszcze egzamin zdać kazano nam,*
*Choć zwietrzało wszystko każdemu.*
*Na dzień i noc każdy zostawał z nas sam.*
*Lecz nikt prawa ugryźć już nie mógł.*

*W pysk światu już każdy zaglądał, choć czuł,*
*Że lalką się bawić powinien.*
*Już każdy z nas światu w kamizelkę pluł,*
*Skoro pod Ypern nie zginął.*

*I ciała i dusze zmęczono, aż wstyd,*
*Tak z sił nas wyprano, do szczętu.*
*Zbyt długo, zbyt wcześnie, i wogóle zbyt*
*Nas w świata historji zajęto!*

*Cóż, starzy orzekli, że teraz nam czas*
*Do żniw i zasiewów, każdemu!*
*Momencik! Już wkrótce poznacie i nas!*
*Momencik! Już wkrótce, a będzie w sam raz!*
*By pokazać i wam, co umiemy.*

przełożył *TADEUSZ HOLLENDER*

Zdawałoby się, że sprawa będzie łatwiejsza, gdy weźmiemy pod uwagę nie ugrupowania, obejmujące różnorodną masę „postępowców", pacyfistów, sympatyków komunizmu, nie pisma radykalne, gdzie obok komunistów i socjalistów, zajmowali miejsca różnego autoramentu demokraci (a nawet sjoniści — jak Arnold Zweig), lecz jednostki uprawiające t. zw. lewą tematykę. Widzę i tu trudności. Erich Kaestner, pogromca błagi, mieszczucha i pruskiego matoła, nieubłagany wróg militaryzmu, śpiewający „Znasz-li ten kraj, gdzie armaty kwitną?", autor brutalnych i cynicznych wierszy, pełnych nienawiści do burżuja i filistra niemieckiego — upoważniałby nas chyba do zaszeregowania go do lewicowego frontu? Okazuje się jednak, że poezja jego, pozbawiona politycznego partyjnych akcentów, może być drukowana w dzisiejszych brunatnych Niemczech. Jeżeli idzie o Trzecią Rzeszę, nie dziwimy się tej tolerancji. Wiemy skądinąd, że zastraszający brak talentów skłonił miarodajne czynniki do patrzenia przez palce. W dzisiejszych Niemczech może już drukować każdy, kto nie stoi w wyraźnej opozycji do rządu. Przykłady? Były naczelny redaktor komunistycznego miesięcznika Gerhart Pohl, przysłał mi parę dni temu numer pisma „Deutsche Rundschau", z pierwszym odcinkiem swojej nowej powieści. W numerze nie znalazłem nic anti — ani też nic prohitlerowskiego. Również inny znajomy, Żyd z pochodzenia, zaczyna mi przysyłać swoje prace. Bezpłciowa literatura (bez względu na rasę i klasę autorów) jest dziś w Niemczech znowu dopuszczalna do głosu.

Zmierzam do tego, że jeżeli do lewicowej poezji niemieckiej zaliczę autorów, którzy należeć do niej będą zarówno ze względu na gatunek uprawianej liryki, jak i ze względu na przekonania polityczne, to na dobrą sprawę, tylko parę nazwisk wypadnie mi podać. W pierwszym rzędzie nazwiska Berta Brechta, J. R. Bechera i Pantera (Kurta Tucholsky'ego).

Najwybitniejszym z nich jako indywidualność i jako artysta jest bezsprzecznie Bert Brecht, autor reprezentacyjnego tomu „Die Hauspostille". Głęboki nurt liryczny jego wierszy, swoista wyobraźnia poetycka, sugestywny styl przeplatany prozaizmami i wyrazami gwarowemi, obok niekłamanego rozmachu rewolucyjnego i zdecydowanej postawy ideowej, wysuwają go na czoło niemieckiej lewicy literackiej. Brecht jest komunistą. Żyje obecnie na emigracji w Paryżu. Prace swoje drukuje w pismach niemieckich, francuskich i rosyjskich.

J. R. Becher wydał szereg tomów poezyj, jak „Pean przeciw epoce", „Maszynowe miasto", „Głodne miasto" (1928). Jest on przedstawicielem skrajnego niemieckiego ekspresjonizmu. Będąc pod silnym wpływem Majakowskiego, całą swoją twórczość podporządkował ideologii marksistowskiej. Poezja jego, to typowa ars militans (sztuka walcząca). Wiersze jego cechuje krzykliwy patos, zawiły barok języka, plakatowość i przesada. (Groteskowy barok stylu becherowskiego niech zilustruja metafory wyjęte z wiersza erotycznego, w którym autor o czole kochanki mówi „Liljowo - śnieżny mur wieczne ukrywający myśli"; uszy kochanki to „wybrzeża z kości słoniowej", a kochanka jest „zaczarowanem listowiem bożego krzaku róży"). Nie można jego lirykom odmówić siły i wyrazu, ale jest to siła raczej agitatora, niż poety. Ostatnio Becher porzucił manierę ekspresjonistyczną, dając mocne wiersze o porywającem rewolucyjnem tchnieniu.

Peter Panter (Kurt Tucholsky) publicysta i poeta, współpracownik a następnie naczelny redaktor „Die Weltbuehne" przeniósł się po zwycięstwie narodowych socjalistów do Szwajcarji. Głęboko rozczarowany i zraniony klęską idei wolnościowej w Niemczech, zamilkł. Na emigracji nie napisał ani jednego słowa. Parę miesięcy temu popełnił samobójstwo. Wiersze Pantera to raczej literatura stosowana. Są to w najlepszym guście, inteligentne i błyskotliwe satyry na „ginący świat". Nie pretendując na tem polu do wysokowartościowego artyzmu, łączył jednak Panter w swoich cotygodniowych wierszach, pisanych doraźnie dla „Die Weltbuehne", szczerą, śmiałą, walczącą myśl, z jasnością i oryginalnością formy. Pokrewną do tej poezji twórczość uprawiał Walter Mehring.

Czy to ze względu na to, że podstawowe swoje dzieła stworzyli na polu dramatu i powieści, rzadko pisząc wiersze, czy to ze względu na przekonania polityczne, szukające wyrazu w liryce tylko sporadycznie, zanotować tu przynajmniej należy następujące nazwiska: Ernst Toller, Paul Zech, E. Billinger, Karol Zuckmayer (autor wystawionej u nas z Jaraczem sztuki „Kapitan Köpenick"), Lersch, Ivan Goll, oraz nieżyjących już świetnych poetów Klabunda i Joachima Ringelnatza.

W ostatnich latach pojawiały się wiersze najmłodszych. Wśród nich zwrócił na siebie uwagę własnym tonem i doskonałą formą Edlef Koeppen. Nie wiem, jak się on w faszystowskich Niemczech urządził.

**Izydor Berman**

KLABUND

## Po bitwie na angielskim froncie

*Grabarskich szufli umilkł stuk*
*wlecze się kusztykając zaprzężony do wozu koń*
*idą mu naprzeciw turyści firmy COOK*
*AND SON.*

*I tu i ówdzie leżą rozrzucone*
*łuski od kul i ładownice puste*
*w których przewraca sztywna Mrs. Kognakbohne*
*o wodę proszą rannych spiekłe usta.*

*Tu belg zabity... można go ominąć...*
*turysta — pewnie piłkarz — podziwia zieleń traw,*
*gdzieś huk daleki... trąb poryki płyną*
*i jakiś lord zsiwiały zbladł.*

przełożył *PAWEŁ HERTZ*

HENRYK LERSCH

## Bracia

*Już oddawna trup wisiał przed nami, w zasiekach,*
*Słońce go złociło, wiatr chłodził i rosą ociekał,*

*Codzień patrzyłem długo w twarz śmiercią pobladłą,*
*Aż przeczucie, że był bratem, w głąb serca zapadło.*

*Widziałem, jak zawsze martwo, tuż, na drutach leży*
*I słyszałem głos jego dziecinny i świeży.*

*A nocą płacz straszny budził mnie i dręczył:*
*— O bracie mój, bracie, nie kochasz mnie więcej?*

*Aż mimo śmierci, co strzałów brzęczeniem nadbiega,*
*Zakopałem trupa — ja — obcy kolega.*

*Myliły się oczy, serce się nie myli:*
*— Każdy ma twarz brata, nad kim śmierć się schyli.*

przełożył *TADEUSZ ŻAKIEJ*

BERTOLT BRECHT

## O biednym B. B.

1

*Ja Bertolt Brecht pochodzę z czarnych lasów.*
*Do miast przyniosła mnie matka jeszcze jako płód*
*We własnem łonie. I aż do śmierci czasu*
*Zostanie we mnie lasów owych chłód.*

2

*Czuję się też jak w domu w asfaltowem mieście.*
*Od dnia urodzin opatrzony śmierci sakramentem.*
*Mam gazety. Mam tytoń. Ognistą wódę wreszcie.*
*Nieufny i leniwy, — zawsze wniebowzięty,*

3

*Przyjacielski wobec ludzi. Nakładam potulnie*
*Kapelusz jak i oni. Więc do góry dnem.*
*Mówiąc: oto są zwierzęta śmierdzące szczególnie,*
*I powiadam: nic nie szkodzi, śmierdzę też, to wiem.*

4

*Przedpołudniem na bujakach wysiaduję stale,*
*Zawsze w towarzystwie kilku dam.*
*I powiadam, przyglądając się damom niedbale:*
*O, polegać na mnie, nie radziłbym wam.*

5

*Wieczorami mężczyzn towarzystwo wolę,*
*Mówimy do siebie per pan, a gdy już*
*Pokładą nogi na moim stole,*
*I powiedzą — będzie lepiej, nie pytam — kiedy, bo cóż.*

6

*Zrana ptactwo, drzew robactwo drze się w niebogłosy,*
*Wczesnym świtem sosny zaczynają sz...ć,*
*O tej porze ciskam w mieście niedopałek papierosa*
*I wypijam swoją szklankę, niespokojny idę spać.*

7

*Tak mieszkamy lekkie i nietrwałe plemię*
*W domach, które za niezniszczalne uważamy dzieła.*
*(Tak zbudowaliśmy drapacze na wyspy Manhattan ziemiach.*
*Tak rzucamy cienkie anteny, z których Atlantycki śmieje się Ocean).*

8

*Cóż pozostanie z tych miast — wiatr, co dzisiaj w nich świszcze?*
*Zjadaczom dobrze w domach, nim zjedzą, co do zjedzenia.*
*Wiemy, że jesteśmy nietrwali, że przeminiemy wszyscy,*
*A cóż zostanie po nas? — Och, nic godnego wspomnienia.*

9

*Lecz gdyby przyszło trzęsienie ziemi, nie sądźcie, że nawet wtedy*
*Ogień moich Virginia z goryczyby zgasł...*
*— Bo ja jestem Bertolt Brecht, którego z czarnych lasów kiedyś,*
*Matka przyniosła w łonie do asfaltowych miast.*

przełożył *TADEUSZ HOLLENDER*

# „OT FAJNIE"

Mgła i senność. Leniwe powietrze na wąskich, krętych uliczkach zalatuje niedwuznacznym odorem z wnęk brudnych bram.

Co dziesięć minut po „arterjach" kursują „Arbony". Mieszkańcy wdychają czad ropy naftowej, jak zapach fiołków. Zawsze rozmaitość.

Na mniejszych ulicach samochód jest rzadkim gościem. Raz, dwa razy na dzień. Opadają go, jak wroga, psy. Bruk trzęsie furmankami, spada na ziemię słoma. Będzie już tu gniła „deszczowo poro".

Wieczorem po 11-ej życie zamiera. Rozpoczyna się defilada beczek. Miarowo, powoli („pośpieim") dudnią wozy, niby artylerja. „Atak gazowy", nie pomoże najszczelniejsze zamknięcie okien. To wkroczyło przedsiębiorstwo asenizacyjne, „działające z ramienia zarządu miasta".

Czasem ktoś w głęboką noc zawiesi czerwony strzęp na drutach. Nazajutrz policja odzyskuje pewność, że jest jednak potrzebna.

Miasto ożywia prowincja. Kto może mówić o separacji wsi? Kilkanaście procesów „o działalność wywrotową" w ciągu dwóch miesięcy. Napływ wielu młodych ludzi z rozmaitych zakątków wzmaga... ruch uliczny. No i tak zwana młodzież narodowa, przeciągająca raźno z okrzykami.

Co roku urządza się demonstrację nędzy — kiermasze „kaziukowe". Patrzajcie, co my tu możemy. Jak u nas rojno i gwarno, „panie tego".

Po paru dniach w opuszczony, zawalony gnojem Plac Łukiski siecze deszcz.

Mgła i senność...

Takie to jest tempo ruchu „stolicy Ziem Północno-Wschodnich" — Wilna, miasta w narożu chińskich granic.

Podobno wszelka kontemplacyjność i spokój są sprzymierzeńcami pracy intelektualnej, naukowej, literackiej. Jakże ona wygląda?

Pozwolę sobie wyręczyć się celowo na tem miejscu dłuższym fragmentem trafnego artykułu Jerzego Wyszomirskiego w „Wiadomościach Literackich" (Nr. 49, z dnia 8 grudnia 1935 r.). Wprowadza on odrazu w sedno sprawy i daje wierny obraz:

„W sierpniu 1935 r. ukazał się w Wilnie pierwszy numer dwutygodnika p. t.: „Poprostu". Pismo wychodzi od tej chwili regularnie i co dziwniejsza — rozpowszechnia się po całej Polsce, nie tak jak inne czasopisma wileńskie, nikomu poza własnym regjonem, z wyjątkiem ludzi specjalnie zainteresowanych — nieznane. Z „Poprostu" rzecz ma się inaczej i nad podziw pomyślnie: można je dostać w każdym kiosku, w każdem większem mieście Polski, na każdej stacji kolejowej... Żadne z czasopism wileńskich, dawniej istniejących czy aktualnych, nie może się poszczycić takiemi sukcesami. Biorąc rzecz objektywnie, rzecz samą w sobie — cóż to za sukces? Jakieś dziesięć numerów dwutygodnika, docierającego w trzydziestodwumiljonowym, kulturalnym kraju do wszystkich jego kątów? To zjawisko normalne. Być może. Ale Polska nie zna stosunków i warunków wileńskich. Wilno cieszy się w Polsce platonicznemi sympatjami (miasto Mickiewicza i Piłsudskiego), ale mało kogo interesuje atmosfera życia tamtejszego, jego ubóstwo, jego leniwe tętno, jego chandra, prędzej czy później rozmiękczająca człowieka. To dwustutysięczne miasto, stolica rozległego regjonu, jest w gruncie rzeczy wielkim partykularzem. Ma ono przecie zaledwie siedem kin (w tem jedno nieme — dla najbiedniejszej i brudnej ulicy). zaledwie cztery możliwe kawiarnie, zaledwie sześć restauracyj t. zw. pierwszego rzędu. Ma wprawdzie dwa teatry, ale gdy moda na operetkę, w teatrze dramatycznym zajęte są tylko „darmowe" miejsca; gdy niepojętem zrządzeniem losu zawita powodzenie do teatru dramatycznego, operetka robi bokami. W tem mieście każda próba walki literackiej, artystycznej czy ideowej kończy się z reguły plotką, oszczerstwem, obrazą osobistą lub pukaniem z wielkich pistoletów, wypożyczanych po niezliczonych korporacjach. W tem mieście niema dziś ani jednej księgarni nakładowej. Zrzadka, kilka razy do roku ukaże się jakaś broszurka — przyczynek i roczne sprawozdanie Tow. Przyjaciół Nauk, i to dzięki zasiłkom ministerjalnym. W tem mieście nakoniec jest tylko jedno skromne muzeum, nigdy przez Wilnian nieodwiedzane. Wydawanie czasopisma społeczno - literackiego w takich warunkach staje się, jeśli nie bohaterstwem, to w każdym razie wysiłkiem, dowodzącym niezwykłej energji".

* * *

W jagliczny pierwszokwietniowy poranek na małą cichą uliczkę Tatarską zajechała taksówka. Niedaleko szumiącej kranami, zaplutej łaźni — niepozorna drukarnia „Ruch". W drukarni „Ruch" poruszenie. Co? Wynoszą duże bele nawpół zadrukowanego, świeżego jeszcze papieru. Ładują. Twarze stojących obok ludzi białe, jak papier. „Poprostu" Nr. 17. Na pożegnanie policjant: „Panowie, nie miejcie do mnie żalu".

Żal? Mamy oficjalne pismo. „Zawiesić"? Za co? Oczy wszystkich zawisają z ciekawością nad urzędowym papierem:

„Orzekł:

Na zasadzie art. 27—29 Dekretu Prasowego z dnia 7. XI. 1919 r. oraz zgodnie z wnioskiem. Prokuratora 1) zajęcie nakładu dwutygodnika literacko - społecznego „Poprostu" Nr. 16 z dnia 20. III. 1936 r. zatwierdzić i 2) dwutygodnik ten zawiesić do czasu wydania wyroku.

Uzasadnienie: W inkryminowanym artykule p. t.: „Po wkroczeniu wojsk hitlerowskich do Nadrenji", autor tego artykułu insynuuje Rządowi polskiemu, poruszając kwestję jego polityki zagranicznej, popieranie Niemiec w przygotowaniach do wojny z Z. S. S. R. i włączenie Polski do grona państw nie stojących na gruncie pokoju i poszanowania traktatów, nie podając przytem żadnych przekonywujących argumentów i przedstawiając w formie apodyktycznej wyżej przytoczony rzekomy stan polityki zagranicznej Polski, jako stan najzupełniej pewny, Rozpowszechnienie tego rodzaju insynuacyj w piśmie dostępnem dla szerokich mas społeczeństwa, bezwarunkowo może wywołać niepokój publiczny i stanowi przestępstwo, przewidziane w art. 170 K. K."

Dalej następuje wymienienie liczby 6-ciu konfiskat i że ponieważ „przestrogi te nie odniosły skutku...".

Wyroków sądowych krytykować nie wolno. Ale wolno chyba dorzucić ten informacyjny szczegół, że w numerze 16-tym „Poprostu" artykułu „Po wkroczeniu wojsk hitlerowskich do Nadrenji" nie było. Został on na propozycję starostwa zastąpiony artykułem „Szymon Konarski i Związek Ludu Polskiego". „Nadrenja", więc wogóle nie ujrzała czytelnika. 16-ty numer wyszedł bez zajęcia, bez konfiskaty... (Te same szczegóły podaje J. Wyszomirski w art. „Podzwonne", „Wiadomości Liter.", nr. 652, — przyp. red.).

Jedyne czasopismo wileńskie, rozchodzące się po całej Polsce, zostało „zawieszone". Jaką rolę spełniało i czyich interesów broniło — wiedzą o tem najlepiej masy pracujące.

I cóż na to miasto Filomatów i Filaretów, dwóch teatrów, siedmiu kin, czterech cukierni, miasto, w którem niema ani jednej księgarni nakładowej?

Nawet instytucja sądu uznaje potrzebę obrońców. Gdzież te hałaśliwe paniusie, „działaczki społeczne", co to zwykle z „cywilną odwagą" i tak dalej...

Nic nikt. „Rozmiękczająca atmosfera".

Nie, przepraszam. W „cytowanem od czasu do czasu" wileńskiem monarchistycznem „Słowie" z dnia 8. kwietnia b. r. jakiś nadworny „literat" napisał „elegję" na zgon dwutygodnika „Poprostu":

„Więc zdechło nareszcie, poprostu, zwyczajnie!
I słusznie zaprawdę. Ot miło, ot fajnie!
Lecz czemu tak późno? Dlaczego tak długo,
Cierpliwie czekano z ostatnią posługą?
Czyż trzeba dopiero gdzieś zgóry rozkazu,
By zamknąć poprostu, niezwłocznie, odrazu?"

„Poprostu" „robiło ruch", świadczyło, że Wilno ma ambicje nie być partykularzem, że w niem też się coś dzieje.

Barbarzyńca ze „Słowa" woli galaretowatą ciszę, bezwład.

„Ot fajnie" — Mgła i senność. Leniwe powietrze na wąskich krętych...

* * *

Powyższe uwagi napisałem przed ukazaniem się drugiego artykułu Jerzego Wyszomirskiego o „Poprostu" w „Wiadomościach" („Podzwonne" w numerze 652 z dnia 10 maja b. r.). Mimo pewnych zbieżności, wynikłych spowodu operowania tym samym materjałem — o uzupełnieniu i ogłoszeniu tego tekstu zadecydował „dalszy ciąg" sprawy.

Zamknięcie „Poprostu" przemilczano. Poza paroma zdawkowemi notatkami — tylko jeden jedyny Mieczysław Grydzewski „nie pożałował" miejsca w swem piśmie (cała kolumna „na otwarcie „Poprostu", pół „na zamknięcie"). Fakt ten notuję bez wyciągania wniosków i tak jest on wystarczająco wymowny.

Piszę nie „zawieszenie", a „zamknięcie", bo rozpoczęła się serja wyroków (z zawieszeniem i bez) na redaktorów odpowiedzialnych, czyli w rezultacie zamknięcie „poprostu".

Oto trzy pierwsze:

W dniu 6 kwietnia b. r. Anna Zgierska, studentka U. S. B, została skazana przez Sąd Grodzki w Wilnie na 3 tygodnie aresztu i zapłacenie 150 zł. grzywny oraz pokrycie kosztów sądowych za to, iż będąc redaktorką

odpowiedzialną „Poprostu“, umieściła w numerze 10 artykuł p. t.: „Zagadnienie pełnej amnestji“. Wykonanie wyroku Sąd zawiesił na dwa lata;

w dniu 4 maja b. r. Anna Zgierska, studentka itd., otrzymała miesiąc aresztu, 100 zł. grzywny i t. d. (bez zawieszenia) za to, iż będąc i t. d., umieściła w Nr. 12 „Poprostu“ artykuł p. t.: „Czy wieś chce kultury“ i „List otwarty do Ewy Szelburg Zarembiny“;

w dniu 6 maja b. r. Władysław Borysowicz, student U. S. B., przez tenże Sąd został skazany na 2 tygodnie aresztu, 150 zł. grzywny i t. d., (bez zawieszenia) za to, iż będąc redaktorem i t. d. zamieścił w Nr. 13 „Poprostu“ artykuł „Skończyć z nieporozumieniem“.

Wszystkie akty oskarżenia z art. 25 i 170 k. k. (i innych), w sentencji więc usiłowanie wzbudzenia „niepokoju publicznego“. U oskarżonych wzbudza niepokój zapowiedź dalszych procesów (często za dwa, trzy zdania z artykułu).

Ale naogół w Wilnie jest spokojnie.

Oto jak doniosło miejscowe obszarnicze „Słowo“ (z dnia 16 ma b. r., we wzmiance p. t. „Nareszcie“):

„Starosta Grodzki zawiesił działalność Stowarzyszenia Inteligencji p. n. „Klub dyskusyjny“, ponieważ jego działalność zagrażała bezpieczeństwu, spokojowi i porządkowi publicznemu“.

„Porządek publiczny“ został przywrócony. Nie pozwolono członkowi Polskiej Akademjii Literatury Wincentemu Rzymowskiemu, który był „na klubie“ z odczytem( i zapowiedział następny) „zagrażać bezpieczeństwu“. Nie pozwolono adwokatowi Ignacemu Zagórskiemu i Helenie Romer - Ochenkowskiej (prezes i członkini zarządu „Klubu“ — współpracowniczka prorządowego „Kurjera Wileńskiego“) „zagrażać spokojowi“.

**Anatol Mikułko**

# Poznanie zmienia świat

Podaję książkę przyjaciołom jako dowód przymierza, ale zdaje mi się, że zbyt powoli wyciągają po nią rękę, więc odbieram, kartkuję i czytam na głos. Zwykle wybrane miejsce jest odpowiedzią na jakiś dawny zarzut, potwierdzeniem wyrażonem słowami, przylegającemi szczelniej do treści niż własne słowa, które się błąkały pod podniebieniem, łaskotały pamięć, aż wreszcie rozpłynęły się i zostawiły gniew niemocy.

Trudno sprecyzować rodzaj literacki tego utworu*), a nawet źródła szczególnego uroku, jaki działa na czytającego. Hamp opowiada własne życie prostemi słowami. Żywot niełatwy a zwykły. Nic nadzwyczajnego nie przydarzyło się autorowi w ciągu kilkudziesięciu lat. Jest nawet pewna monotonność, suchość, brak liryczności. Jedna nuta. Jeden sens wszystkich wydarzeń. Autor mówi o sobie jako o byle kim, bez patosu, bez skromności, poprostu bez przymiotników. Słowo **ja** w tej książce jest o wiele bardziej obojętne niż słowo **on, czy oni.** Ja oznacza **człowiek, nie Pierre Hamp.**

Młody piekarz-paszteciarz wyrabiający codzień setki wykwintnych pasztecików w suterenowych kuchniach największego hotelu londyńskiego obrzydza sobie robotę, która służy tylko smakoszom i wykwintnisiom. Jedzie z uzbieranemi pieniądzmi do Paryża, poznaje wybitnych uczonych, literatów i artystów, pracujących w uniwersytecie ludowym. Uczy się namiętnie. Po kilku latach nauki opuszcza Paryż i dostaje na małej węzłowej stacji zajęcie jako urzędnik ruchu.

Niepatetyczna treść.

Boteż jest to tylko treścią mechanicznych zmian. Treścią istotną, sensem każdego wydarzenia jest wspaniała prawda, że **poznanie zmienia świat.** Autor jest tym właśnie, który poznając przemienia się i jego wewnętrzna przemiania rozjaśnia sprawy dookolne i daje wieczysty sens i historyczną interpretację najmniejszemu wydarzeniu, najskromniejszemu człowiekowi.

Wiele razy czytałam przyjaciołom na głos całe rozdziały tej książki. Jeden z nich, pisarz, tak zwany lewicowy, cierpiący skrycie na uraz wywołany zarzutem, że jego utwory to „agitki“, odetchnał jak uwolniony od koszmaru.

— Właśnie tak. Proste, wielkie, bohaterskie.

* * *

Gdyby więcej było na świecie powiedzmy... fantazji, to kolejarze francuscy powinni postawić pomnik dwóm bohaterom występującym w tej książce: Dumont'owi i Potez'owi. Bohaterom zawodu. Hamp mówi o nich, że dali mu przez kilka lat przykład najdoskonalszych wartości człowieka: cierpliwości, odwagi, zamiłowania zawodu, liczenia się z interesem kolegów.

Na małej stacji węzłowej przeładowywali nocą setki wagonów. Nieraz ekspres idący z Calais, spóźniał się, czekał bowiem na przybycie okrętu. Dziesięć minut przed przyjściem pociągu tor winien być wolny. Ale gdyby Dumont i Potez przestrzegali przepisów, ani połowa wagonów nie mogłaby być przeładowana. Oszczędzali nawet pół obrotu osi. Od wieczora do brzasku nie mieli czasu nawet szczęką ruszyć. Świstały pociągi uśpione przez uśpioną stację. Co kilkanaście minut jeden z torów ma być wolny. Pojękujący hałas kilkuset ton. Od rzeki mgła i wilgoć. Dumont czasem popijał wódkę z manierki, ale głowę do roboty miał trzeźwą. Sąsiednia fabryka otrzymywała zawsze na czas pełne i próżne wagony. A co noc kosztowało to ogromny wysiłek jednego z dwu starych kolejarzy, nieposłusznych przepisom. A wrazie katastrofy nie mających żadnego usprawiedliwienia.

* * *

Jest w tej książce kilka postaci, wychylających się ku czytelnikowi z ram opowiadania. Nie pozwalają sobie rozpaczać, nie przyznają sobie prawa powiedzieć: możemy być zadowoleni. Czy to kolejarz kanadyjski, mówiący zamiast powitania: Ja także jestem kolejarzem, czy kobieta, która wyzwala dumę miłości, czy budziciel umysłów Paul Dujardins, twórca wielu dzieł p a r p r o c u r a t i o n, każdy z nich przemawia wspólnym językiem, chociaż mówią różnemi głosami.

Autor kończy książkę pozdrowieniem do towarzyszy pracy. Mówi do nich gorzko — o sobie. Odszedł od pracy, która zabijała umysł, która dawała możność utrzymania się przy życiu, ale żadnej radości życia. Szczęście w pracy — oto utęsknione hasło, które ma przemienić umysły i ciała ludzi, mających się na nowo urodzić.

Zakończenie książki napisane namiętniej, we wzburzeniu, chociaż trafne, usprawiedliwione i istotne, każe nam jednak żałować tonu, w jakim utrzymana jest reszta książki.

*) Pierre Hamp: Il faut que vous naissiez de nouveau. (Musicie się na nowo urodzić). La nouvelle revue francaise, 1. VI, 1. VII, 1. VIII, 1. IX, 1. X. 1935.

**Anna Kowalska**

**HALINA GÓRSKA**

# PISARZ I MASY

POZDRAWIAMY

— matki niestrudzone w czuwaniu i miłości, przygotowujące strawę i odzież dla dzieci i co dzień na nowo zdobywające im życie.

POZDRAWIAMY

— chłopów o głodzie orających pole i siejących zboże.

POZDRAWIAMY

— piekarzy po nocach chleb pieczących.
— murarzy budujących gmachy i chaty
— kamieniarzy sprószonych po bokach dróg.

POZDRAWIAMY

— pilotów bohatersko i świetnie skracających odległości świata
— kolejarzy przewożących bezpiecznie uśpionych podróżnych po splątanych zwrotnicach.
— motorowych otępiałych aż do zawrotu głowy z ciągłego krążenia po mieście.

POZDRAWIAMY

— górników dobywających węgiel w wiecznej nocy i w zatrutem powietrzu.
— robotników pochylonych przy maszynach i taśmach, wytężonych w nadludzkim wysiłku i narażających się na śmierć, a powracających po robocie do brudnych dzielnic i brzydkich domów.

POZDRAWIAMY

— marynarzy walczących z morzem i burzami.
— żołnierzy zmęczonych długim marszem.
— nauczycieli cierpliwych i dobrych.
— małoletnich robotników hut szklanych wydmuchujących z całych sił szkło słabemi, coraz słabszemi płucami.
— drukarzy, składających nasze odezwy, wiersze i powieści.

POZDRAWIAMY

— studentów żydów, którzy w wyższych uczelniach stoją pod ścianą, obrażeni przez kolegów w godności ludzkiej.

POZDRAWIAMY

— wszystkich tych, którzy w czasach pogardy ciężką pracą utrzymują zdobycze cywilizacji wywalczone pokoleniami.

POZDRAWIAMY

— wszystkich ludzi dobrej woli, którzy patrząc na krzywdę, widzą ją, a głupiego okrucieństwa nie usprawiedliwiają wyższemi celami.

POZDRAWIAMY

— wszystkich, którzy nie boją się myśleć i mówić.

* * *

Nie szukamy nowych źródeł natchnienia w waszym udręczonym kręgu, ale pragniemy mocnem słowem uczcić wielkość wspólnej sprawy, a jest nią godność ludzkiej doli.

(Pozdrowienie wygłoszone na zjeździe Pracow. Kultury przez Annę Kowalską).

Dużo napisano o zjeździe pracowników kultury we Lwowie.

Nazwano zjazd manifestacją komunistyczną, rozprawiano o „uwiedzionych“ i „opanowanych“ przez agitatorów, organizatorach i literatach, zarzucono mu brak prawdziwego zainteresowania dla spraw naprawdę mających związek z kulturą lub — zachwycano się nim jako udaną i imponującą demonstracją polityczną.

Zapomniano niemal o jednem, najważniejszem może, o tem, że zjazd odbył się we Lwowie. We Lwowie, w którym nie przebrzmiało jeszcze echo strasznych dni kwietniowych. Lwowie cierpienia i buntu, nędzy i walki.

I dlatego zjazd ten nie był i nie mógł być zwykłym zjazdem kulturalnym. Nie był jednak także, a przynajmniej nie był wyłącznie demonstracją.

Był — pozdrowieniem.

Kto widział to podniecenie i gorączkowe zainteresowanie, z jakiem oczekiwały zjazdu masy robotnicze, kto przyjrzał się tym młodym robotnikom, gromadzącym się przed wejściem do Domu Pracowników Gminnych, w którym odbywał się zjazd i chłonących głodnemi, rozgorączkowemi oczyma twarz każdego przechodzącego obok nich pisarza, ten zrozumie, jak bardzo potrzebowały tego pozdrowienia masy.

Robotnik lwowski (powiedzmy to sobie szczerze) niósł wszakże w tych strasznych dniach na swoich barkach cały ciężar „Czasów Pogardy“. Wiszą jeszcze na rogach ulic strzępy ohydnych płacht bezczeszczących pamięć poległych.

Nikt nie mógł lub nikt nie ośmielił się przerwać ohydy milczenia lub ohydy kłamstwa nie cichemi naradami w zamkniętych kręgach prywatnych lub półprywatnych zebrań, lecz ostrym krzykiem protestu.

Przyjazd pisarzy (jaka duma brzmiała w tych słowach „nasi pisarze“) stał się dla robotnika lwowskiego jakgdyby moralną satysfakcją za wszystkie krzywdy i poniżenia. Ci pisarze, którzy przyjeżdżali do niego z całej Polski (jeden z pisarzy, który zapytał się tramwajarza o Dom Pracowników Gminnych, usłyszał następującą odpowiedź: „Ach, to pan jest pewnie jednym z naszych pisarzy, którzy przyjechali bronić robotników do Lwowa“...), ci pisarze mieli stać się ich głosem, mieli wyrazić wszystko, czego nie pozwolo wykrzyczeć ich spragnionym głosu ustom: Ich krzywdy, ich tęsknoty, ich dążenia!

Ale nietylko to. Ci pisarze mieli dać wyraz najbardziej nurtującym ich sprawom polityki aktualnej, ba, nawet sprawom dnia: Strajk budowlany — tem także mieli zająć się pisarze...[1])

Zjazd przyjmowali delegaci Centralnej Komisji Związków Zawodowych, robotnicy ze wszystkich stron kraju nadesłali depesze powitalne, salę przepełniali przysłuchujący się obradom robotnicy — działacze oświatowi.

Podczas wieczorów autorskich, które trzeba było dwa razy powtarzać, gdyż tłumy odchodziły z niczem od kasy, przepełniona sala reagowała łzami, okrzykami i burzą oklasków na każde słowo.

Entuzjazm dwutysięcznego tłumu zdawał się rozsadzać podczas akademji ściany Teatru Wielkiego.

A kiedy po ostatnim wieczorze autorskim bojówka endecka rzuciła do sali bombę cuchnącą, robotnicy otoczyli wychodzących z gmachu pisarzy szerokim kręgiem i przeprowadzili ich tak przez miasto, jakgdyby chcieli ich osłonić murem własnych piersi i serc. I pisarze zostali naprawdę „uwiedzeni“ i „opanowani“. Nie przez grupkę agitatorów jednak — zostali opanowani i uwiedzeni przez nastrój mas.

Młody poeta, powtarzający jak człowiek pijany wciąż te same, powiedzmy — wiecowe hasła przy akompanjamencie wciąż tego samego huraganu oklasków i osiwiały pisarz mieszczański, pozdrawiający tłumy zaciśniętą pięścią i nie czujący teatralności gestu — wszyscy dali się jednako ponieść fali.

Nie należy zbytnio upraszczać tej sprawy.

To, że pisarze stawali się chwilami mówcami wiecowymi i to nawet czasem mówcami nie najwyższego gatunku, nie było wynikiem jakiegoś kabotyńskiego zgrywania się!

Jest zupełnie zrozumiałe, że pisarz związany wszystkiemi fibrami serca ze sprawą pokrzywdzonych i uciemiężonych, *w takiej chwili i w takich warunkach* zapragnął zlać się z tłumem, zanurzyć się w nim i niemal zatracić, wziąć od niego wszystko i — oddać mu wszystko!

Nietylko swoje pióro, ale i swoje życie, nietylko treść, ale nawet i formę swojej twórczości.

Wszakże cały szereg mówców żądał na zjeździe od pisarzy czynnego udziału w życiu oświatowem i politycznem i wyraźnej tendencji utworu, a jeden z poetów chłopskich posunął się nawet tak daleko, iż oświadczył, że dzisiaj niema czasu na bawienie się w doskonalenie formy lub zawiłe problemy — nie jakość, lecz ilość jest ważna, gdyż wieś jest głodna słowa.

I może *w takiej chwili i w takich warunkach* pisarze powinni byli tak czuć i tak przemawiać. I może dobrze się stało(mimo tych czy innych niedociągnięć i błędów), że tak a nie inaczej reagowali i że taki, a nie inny przebieg miał zjazd.

Jednakże (i to musimy również stwierdzić z całą stanowiczością) nie można i nie wolno czynić na stałe z pisarza działacza partyjnego, mówcy wiecowego czy autora propagandowych „agitek“.

Ofiara, jakiej wymagał na zjeździe od pisarzy ów poeta, nie byłaby bowiem wcale ofiarą złożoną proletarjatowi, lecz właśnie — okradaniem go. Nie wolno nawet w okresie walki spłycać i zubożać życia kulturalnego. Ogromną zaletą zjazdu lwowskiego było zetknięcie pisarza i mas. Zetknięcie, które dało obydwu stronom pokrzepienie w walce.

Atmosfera jednak zjazdu lwowskiego była atmosferą wrzenia. Oddźwięk budziły w niej niemal wyłącznie aktualne hasła polityczne. Najciekawsze i najgłębiej przemyślane referaty ściśle fachowe przechodziły w niej bez większego echa (jedyną dyskusja, która się wywiązała, była dyskusja o charakterze politycznym).

Przyszły zjazd powinien zająć się problemami twórczemi i fachowemi, stającemi przed budowniczymi Nowej Kultury.

Wanda Wasilewska, pisząc o swych wrażeniach zjazdowych, wspomina o owej naprawdę osobliwej i dziwnej chwili, kiedy na pytanie zawarte w wierszu Broniewskiego — „Gotowe?“ dwutysięczna sala odpowiedziała jak jeden człowiek — Gotowe!

Ale ta chwila nie powinna być tylko chwilą upojenia władzą własnego słowa.

Powinna być także chwilą zrozumienia głębokiej odpowiedzialności, jaka na nas ciąży.

Nietylko ramię i słowo pomocne w walce mamy im dać.

Przyjdzie chwila, że nie my ich, ale oni nas zapytają — „Gotowe?!“

Trzeba, żebyśmy mogli odpowiedzieć:
Gotowe!

[1]) Na posiedzenie zjazdu przybył delegat pracowników budowlanych, który koniecznie chciał odczytać biuletyn o przebiegu strajku.

# KORESPONDENCJA

**Do Zespołu „Sygnałów" należą: Tadeusz Banaś, Halina Górska, Tadeusz Hollender, Anna Kowalska, Karol Kuryluk i Marjan Promiński.**

**Z Zespołu „Sygnałów" wystąpili: Al. Baumgardten, St. Blumenfeldowa, St. Kawyn, A. Z. Kruczkowski i B. W. Lewicki.**

**W najbliższych „Sygnałach" ukażą się prace: H. Dembińskiego, H. Górskiej, T. Hollendera, St. Jędrychowskiego, A. Kowalskiej, Leona Kruczkowskiego, R. Lena, A. Mikułki, Cz. Miłosza, L. Piwowara, M. Promińskiego, J. Putramenta, J. Zagórskiego, E. Zegadłowicza i w. i.**

### ODPOWIEDŹ WYJAŚNIAJĄCA.

Do Redaktora „Sygnałów"

W związku z artykulikiem M. Promińskiego w Nr. 17-ym „Sygnałów" (Trochę izometrji zamiast „perspektyw" poetyckich"), nasuwają mi się smutne uogólnienia.

Dyskusja w Polsce obecnej ma jeden wyraźny schemat: X pisze artykuł o pewnej kwestji, przejaskrawiając niektóre objawy, aby całość zjawiska stała się dostrzegalna. Y rozdrażniony przejaskrawieniem szczegółów przerzuca na nie ciężar dyskusji, wypisując szereg t. zw. „wymyślań", ażeby „dociąć" X-owi. Oburzony X albo odpowiada jeszcze większą porcją połajanek, albo ogłasza, że dyskutować z Y-em, ze względu na złe obyczaje polemiczne tegoż — nie zamierza. Tak czy owak z dyskusji nie zostaje nic prócz niesmaku. W wypadku niniejszym dwa pierwsze stadja powyższego schematu są już poza nami. Z trudem bronię się przed trzeciem. Ponieważ jednak nie odpowiada mi maniera Promińskiego załatwiania zasadniczych kwestyj via „pyskowanie", a materjału do dyskusji mój szanowny polemista mi nie dostarczył, poprzestanę na paru krótkich wyjaśnieniach.

Nigdy nie utożsamiałem nowego stylu poetyckiego z osiągnięciami „awangardy krakowskiej". Gdyby tak było, mógłbym podać znacznie konkretniejsze cechy tego stylu. Poprzestałem na dwóch bardziej ogólnych, które łączą sobą naprawdę całe młode pokolenie poetyckie z wyjątkiem zdecydowanych epigonów. Nie podawałem żadnej „oficjalnej" listy „awangardzistów". Trzej poeci przeze mnie wymienieni byli tylko ilustracją polityki Grydzewskiego. To, że i Miłosz i Zagórski drukują wiersze w „Skamandrze", nie dyskwalifikuje ich, jako czołowych poetów stylu właśnie antyskamandrowego.

Ma rację Promiński, twierdząc, że Grydzewski ocenia materjał swoim własnym smakiem artystycznym, ale rola tychże „Wiad. Lit." w dzisiejszem życiu literackiem jest zbyt wielka, aby móc zaufać temu smakowi. Że kryterjum to jest wątpliwe, świadczy historja z Bąkiem. Całkowicie podtrzymuję swój sąd o „niskich normach" i „naskórkowości przeżyć" poezji Tuwima. Tylko, że to nie znaczy, abym go dyskwalifikował w sensie historycznym. Znaczy to tylko, że jego pojmowanie poezji uważam za rzecz dojrzałą do przezwyciężenia. Wzorem dla poezji naszej epoki być on nie może. Nie napadałem wcale na „całą prawie współczesną literaturę". Cóż za „nawiactwo", że użyję terminu Promińskiego. Ustosunkowując się krytycznie do P. A. L., czy innych instytucyi i postaci, nie potępiałem ich „en bloc", tylko próbowałem wykazać pewne ich funkcje, które mi się wydają szkodliwe. N. p. negatywnie traktując „Wiad. Lit." za ich politykę poetycką (Bąk i „Skamander"), cenię to pismo za rzadką w naszych czasach odwagę cywilną bronienia wolności słowa i prasy.

Pasując Czechowicza na Norwida naszych czasów, znowuż miałem na względzie podobną rolę tych poetów na tle epoki, a wcale się nie bawiłem w niemożliwe do przeprowadzenia równania wartościujące. Coś podobnego mógłby wyczytać z moich wypowiedzi albo człowiek tępy, albo mający wyraźne zniekształcenie psychiczne, zwane złą wolą.

Mógłbym odpowiadać na wiele innych tegoż rodzaju istotnych dla Promińskiego kwestyjek. Są one jednak zbyt błahe. Ważniejsze jest dla mnie samo zagadnienie nowego stylu poetyckiego i jego zależności od przemian historyczno-społecznych. Ponieważ Promiński wykazał w swojej replice całkowite niezrozumienie tej kwestji, nie pozostaje mi nic innego poza prośbą o powtórne, uważniejsze odczytanie mego artykułu w kwietniowych „Sygnałach". Nie tracę nadziei, że Promiński potrafi się wyrwać w swoich wystąpieniach publicystycznych poza kategorje „pyskowania" i „karjery", „duszy faszystowskiej" i rozmaitych „chę?", „nudno" itd., a dyskusja z nim przyczyni się do wyjaśnienia wzajemnych nieporozumień.

Jerzy Putrament.

### O UTWORY NIEPODPISYWANE PRZEZ AUTORÓW

Do Redaktora „Sygnałów"

Nowopojawiające się utwory — prozą i wierszem — nasuwają mi stale pewną refleksję, któremi chciałabym podzielić się z „Sygnałami".

Gdy wpada nam w rękę jakiś nowy utwór literacki, odrywamy się od pierwszych jego wierszy, choćby najbardziej interesujących, by spojrzeć na podpis. I tu się zaczyna sugestja. Zależnie od podpisu znanego lub nie — autora cenionego lub nie — nastawiamy się do danego utworu pozytywnie lub negatywnie, jeszcze przed przeczytaniem. Do nieznanego autora odnosimy się z dużą dozą krytycyzmu. Kompletna „wrogość" stosowana jest przez wysokość prestige u pisma zamieszczającego utwór. Owego kredytu nie mają więc ludzie nowi, drukujący na własny rachunek, bez oparcia „firmowego".

Jest wręcz przeciwnie, gdy nowa rzecz podpisana jest znanem i „uznanem" nazwiskiem. Znika owo — tak konieczne do dobrej oceny — nastawienie krytyczne. Jednym pewien snobizm każe chwalić utwór człowieka o głośnem nazwisku, innym zaś brak odwagi, a raczej zaufania do własnej, słusznej oceny. Czuje, że dana rzecz jest słaba, lecz nie ufa własnemu sądowi, obawia się przyznać, że utwór nie podobał mu się, by nie być posądzonym o brak literackiej kultury.

Pisma literackie wychowują. W pedagogice dzisiejszej propagowana jest t. zw. „poglądowość". To się stosuje do dzieci. Ale dzieci mają umysł tak rzutki i świeży, iż uczyć je trzeba jedynie zachowania zdolności spostrzegania i wnioskowania — posiadanych in potentia. Życie zabija w nich sczasem świadomość i śmiałość sądu. Więc owa praktyczna poglądowość winna być udziałem nauki „starszych". Resumując, sądzę, iż dobrze byłoby, gdyby pisma literackie zamieszczały utwory pisane prozą lub wierszem — bez podpisywania autora. (Ciekawy byłby apel do czytelników, by przesyłali redakcji swe oceny lub nawet zgadywali autorów). Dopiero po niejakim czasie redakcja podawałaby nazwiska. Czytelnicy mieliby wówczas możność tworzenia niezasugerowanego sądu. Wiem dobrze, „cyplonok toże choczet żyt", że pisma dzięki reklamie nazwisk zwiększają swój debit. Ale przecież można powoli przyzwyczaić, a nawet zainteresować czytelników nową formą. Być może, — nie wiem — dochodziłyby tutaj i inne trudności techniczne, lecz zdaje mi się, że ze względu na celowość, na wynik: wyrobienie smaku literackiego i bezstronnego węchu wśród ogółu, — warto byłoby spróbować.

Halina Dąbrowska

# S A T Y R A

### PASZKWIL

Cośniecoś ludzi, cośniecoś błota,
cośniecoś smutku, cośniecoś drzew,
co drugi kretyn, pierwszy idjota,
a w herbie miasta, powiedzmy, lew.

Cukiernia, w środku panie i dranie,
co druga pani, co pierwszy drań,
— całujerączki, uszanowanie,
o jak tu dużo pind, dam i pań.

W kasynie Związek, co poniedziałek
w Związku bez związku ten, ów, czy ta
z cudzych recenzyj czyta kawałek,
co się nazywa — referat ma.

Potem Żygulski mową wytryska,
że to i owo i tamto że,
łatwy kalambur z tego nazwiska.
ale doprawdy czasem się chce.

W teatrze Wilam, po kioskach „Chwila",
W „Chwili" Jampolski, dość bądźcobądź,
a tu ci jeszcze życie umila
w każdą niedzielę okropny Stroń.

Spokojna drzemka na Xsiędzu Marku,
wśród pustych rzędów siedzisz i sam,
bilet ci zawsze dadzą w podarku,
tylko Balk Henryk powie, żeś cham.

Wystawa kiczów zawsze ta sama,
Kramarczyk wiesza swój straszny kram,
panowie, raczej już panorama,
bo tam przynajmniej Kościuszkę znam.

W „Sygnałach" Stasia Blumenfeldowa,
pod „Sygnałami" Alina Lan,
u Zaleskiego zaś Meiselsowa,
trzy Hermanowe i jeden pan.

Znów Bazylissą straszy Horzyca,
i znowu Dziady wystawiać chcą,
przejdziesz z kobietą, już po ulicach
szepce Chwistkowa — kocha się z nią.

Krew cię zalała, i tego mało,
napiszesz paszkwil, sobie go krzycz,
powie ci cały Zespół „Sygnałów":
— ty się, kochany, z opinją licz.

O, miasto cudne, kiedyż jak z grobu
wyfrunę na świat cały i zdrów,
tęskniąc za Balkiem, Stasią i tobą,
jak Wittlin jęknę — niema jak Lwów.

TADEUSZ HOLLENDER

### FRASZKA

Wiersze lubię pisać namiętnie,
lecz mnie muza zbytnio nie pieści:
pomysły przychodzą niechętnie,
brakuje mi ładu, brakuje treści
— skarżył się facet pewien —
wszystko wychodzi nijakie,
co począć — sam nie wiem...
Zostań — powiedziałem — Piętakiem.

Jan Huszcza

### FANTAZJE NA TEMAT G. B. S.

Wszystkie proroctwa zdadzą się do ula
Niezbadane są twe uskoki
Gdybyś tak nagle przybrał tytuł króla
Byłby dopiero shawking.

Cóż ci Bernardzie zawinił mistrz Szopen
Że się przekornie twe pióro zwie shaw-pen.
Gdybyś sam stał się nawet anarchistą
To twój wielbiciel będzie shaw-inistą.

St. J. Lec

### FRASZKA LWOWSKA

„Na Wysokim Zamku
siedział ułan z mamką".
Ułan dawno generałem
i mamka nie mamką. —

St. J. Lec

### FRASZKA

Chcecie kolonij w Afryce
dla swej rasowej młodzieży?
Rację macie, o Fryce!
Liberja wam się należy.

St. J. Lec

### PRZEGLĄD PRASY

Ogarnia mnie czarna chandra,
Gdy biorę do rąk „Skamandra".

Zlituj się wreszcie na Boga
I nie wychodź moja „Droga".

Ja używam „Zet'u"
Tylko do klozetu.

Bez poziomu „Pion" jest pionkiem,
Czy bez Bąka, czy też z Bąkiem.

Na cztery nogi kute asy
Redagują „Nowe Czasy"

Józef Nacht.

### PRZYSŁOWIA PARAFRAZESOWE

Darowanej „Kamenie" nie zagląda się w wiersze.
Kto na ciebie „Kameną", ty na tego kamieniem.
Lepsze wróble na dachu niż „Wróble na dachu".
Lepiej nigdy niż później (naprzykład czytanie „Kuźni").

Józef Nacht.

### NAPAŚCI OSOBISTE

Nad Fika z Pasternakiem
przekładam figę z makiem.

Nikt go nie uprawia, nie sieje —
a jednak rośnie Timofiejew.

Jan Huszcza

### NA PANIĄ HERMANOWĄ

Gdy najlepsze obrazy malowali starzy,
dlaczego pani młodych przyjmuje malarzy?

T. Hollender

### NA RED. GRYDZEWSKIEGO

Co są temu winni ludzie,
że się Uniłowski nudzi.

T. Hollender

### ANTONIEGO NIESŁONIMSKIEGO

modlitwa przeciw skokam y chytrościam nieprzyjacielskim.

Święty Antoni
mój najwyższy patronie!
poskarżyć się muszę.
Bo na moją duszę
cenę nałożono. Endecy, sjoniści,
militaryści, burżuje, antypacyfiści...
wszyscy ślą gromy na mą łysą głowę,
chcą szkła bić, w okularach, abym kupił nowe,
czytał tylko „Bigdę", chwalił T. K. K. T.
przestał pijać w „Ziemiańskiej" z Tuwimem herbatę,
przyznał się, żem mason, no i ateista,
ekshibicjonista, bolszewik, względnie komunista,
wyznał wreszcie i to też, że słowo za słowem
kopjuję „Bunt Młodych" w credo ideowem...

Radź więc patronie, jak wszystkim dogodzić,
sławę zyskać, zbić forsę, sobie nie zaszkodzić,
jak zrobić, bym nie słyszał, gdy wchodzę do I. P. S-u,
że „ten posąg ulepiony z semickiego gipsu",
by nie mówił Piasecki, ni żaden Rafałek,
żem do niego za krótki o mały kawałek,
aby „Kurjer" nie pisał, że „z wszystkich pisarzy,
Antolek tylko Wellsa swą sympatją darzy,
(bo Wells marzy i on marzy... o aryjskiej twarzy)"
i żebym za „kroniki tygodniowe"
dostał wawrzyn literacki za... wymowę,
i na koniec to jeszcze racz sprawić, o święty,
bym na członka P. A. L-u został wreszcie przyjęty.
Wysłuchaj, o patronie litanją całą!
sam widzisz, jak do szczęścia brakuje mi mało!

L. Brattel.



**Redaktor i wydawca: KAROL KURYLUK**

**Redakcja i administracja:**
**LWÓW, RUTOWSKIEGO 9**

**(W KSIĘGARNI GUBRYNOWICZ i SYN, właśc. A. Krawczyński), codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 18—19**

**Prenumerata roczna 5 zł.**
**Wpłacać przekazami rozrachunkowemi LWÓW Nr. 1**

Redaktor odpowiedzialny: TADEUSZ BANAŚ.
Z drukarni „SŁOWA POLSKIEGO", Lwów, Zimorowicza 15.